

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 5

Niedziela, 1 czerwca, 1941

Cena (Price) 9d.

TREŚĆ:

Więcej inicjatywy i jeszcze więcej pracy — M. E. Rojek
Na co odpowiedzieć i co stwierdzić mamy obowiązek
W sprawie ukraińskiej — P.T.
Problem śródziemnomorski — Junius
Dziedzice Bismarcka — W.
Opinie wymagające naprostowania
Horyzont wojenny — Obserwator

Album rzeczy polskich
Trzy niespodzianki — Jerzy Pietrkiewicz
Wiersze o Warszawie — Jan Rembieniński
Teksty angielsko-polskie: "Herr Schomberg" Joseph Conrad —
Korzeniowski. Przekład A. Zagórskiej
Z prasy i publicystyki
Listy do Redakcji

M. E. Rojek

Więcej inicjatywy i jeszcze więcej pracy

NIE wydaje się bynajmniej odległe od prawdy twierdzenie, że całość działań polskich poza granicami Kraju — a choćby tylko we Wielkiej Brytanii, gdzie znajduje się ośrodek kierowniczy państwa polskiego — pozostawia wiele do życzenia. Nawet w oczach najbardziej urzędowego optymisty działania te nie mogą i nie powinny przybierać obrazu doskonałości. Nie osiągnęły one bowiem takiego poziomu, żeby w nich nie można było nic ulepszyć, a nawet — przeciwnie — są one od takiego poziomu dość odległe. Jest w nich wiele wad i niedomagań, które należy usuwać a nierozwiązane problemy posuwać naprzód.

Ostatecznie ci z pośród nas, którzy zupełnie wyzbyli się myśli o osobistym jakimś pożytku, którzy nie śpieszyli z Polski we wrześniu, ani z Paryża w następnym maju, ani w kolejnym wrześniu i październiku do Portugalii, ani teraz z Portugalii do Ameryki — ci nie mają ani wiele do stracenia osobiście ani też do zyskania. Za to wiele do stracenia i do zyskania ma Polska i jest naszym obowiązkiem mieć swój własny niezależny sąd o tym co, dla Polski się robi i co się powinno robić. Jest też naszym obowiązkiem usuwać z bark Polski umęczoną wszelki balast bierności i braku inicjatywy, a tym bardziej balast wygodnictwa i programowego laissez-fairyzmu.

Niestety balastu tego jest bardzo wiele — szczególnie w środowisku bankrutów politycznych z września 1939 r. Środowisko to nie tylko okazuje się bardzo żywotne, — czemu się nawet dziwić nie można; instynkt samozachowawczy jest siłą bardzo wielką — ale potrafi nawet asymilować wcale skutecznie żywioły pozornie od niego odległe. Jest to asymilacja raczej psychiczna, niż polityczna i programowa — choć i tej nie brak — i obejmuje m.i. takie cechy, jak brak planu, brak organizacji, brak głębokiej z zarazem śmiałej myśli przewodniej.

Trzeba przystąpić do tępienia tego dojrutkowania i do wskazywania prawdziwych dróg, po których działanie polskie iść powinno. Nie można pracować tylko z dnia na dzień, bo praca taka pochłania wprawdzie bardzo wiele energii, ale nie daje teraz i nie da na przyszłość pożądanego wyniku. Trzeba zresztą stwierdzić, że wiele Polaków w Londynie pracuje naprawdę dużo; w wielu naszych instytucjach ludzie są tak zajęci i tak nie mają czasu dla siebie — i niekiedy dla czekających rodaków — iż postronny obserwator z jakiegoś dalekiego kraju mógłby sądzić, że posiadamy i zarządzamy jakimś ogromnym imperium.

Równocześnie zaś, gdyby ten sam postronny obserwator przeszedł się po księgarniach londyńskich i poszukał wydawnictw politycznych polskich — oczywiście w języku angielskim — gdyby zechciał znaleźć wydawnictwa polskie mówiące mu i o roz-

licznych zagadnieniach polskich i o tym, jak Polacy widzą inne zagadnienia europejskie przede wszystkim bliższe geograficznie Polsce — zawiódł by się biedak (poor man) okrutnie. Takich wydawnictw po prostu nie ma. Ostatecznie mamy wiele do powiedzenia, w sposób nieobciążający nas politycznie, i o Rosji i o Litwie czy krajach Bałtyckich, o Rumunii i Węgrzech i t. d. Moglibyśmy mieć również wiele do powiedzenia i o Polsce o jej zagadnieniach społecznych, o potrzebie ziemi dla naszego, chłopca, o zagadnieniach mniejszościowych, ekonomicznych i t. p. W sprawach tych publicznie nawet nie zaczęto jeszcze nic propagować!

A przecież mamy wiele do powiedzenia i w tych sprawach i w sprawach ogólnoeuropejskich. Przede wszystkim dlatego, że nasz wkład do wojny jest olbrzymi. Jest to wkład września 1939 r., wkład walczącego Kraju i wkład naszych sił morskich i powietrznych w walce obecnej — a do niedawna i wkład wojska lądowego we Francji i Norwegii. Wniosków jednak z tego wkładu nie wyciąga się należytych, bo ich nie wyciągają w dostatecznym stopniu odpowiedzialni za to Polacy. Trzeba jednak zdać sobie raz wreszcie sprawę, że jest naszym obowiązkiem formułować **naszą własną** myśl polityczną i ideową tej wojny i tę myśl przesączać w świadomość naszych dzisiejszych i ewentualnych jutrzejszych sojuszników w walce z narodem niemieckim.

Mamy również wiele do powiedzenia w sprawach odleglejszych od nas, gdyż dalszą Europę znamy również nie źle i moglibyśmy dostarczyć wiele spostrzeżeń interesujących, bo uzyskanych z innych — niebanalnych — punktów widzenia.

Reasumując musimy dążyć do tego, żeby w tej wojnie być nie przedmiotem, ale w pełni tego słowa znaczeniu podmiotem wojny; żeby na przebieg tej wojny i sposób jej prowadzenia wpływać; żeby wycisnąć polskie piętno na idei tej wojny. W tym celu musimy działać nie tylko wojskiem, ale — szczególnie wtedy, kiedy chwilowo nie prowadzimy wybitniejszej akcji wojskowej — naszą własną propagandą i inicjatywą dyplomatyczną. Szczególnie wtedy, kiedy wojsko nie bije się — nie bierze udziału w większych kampaniach — prace i wysiłki Ministerstw politycznych winny być zdwojone, politykę bowiem prowadzi się różnymi organami i kiedy jedno z nich nie są czynne, te inne nabierać muszą szczególniejszej siły i zręczności.

Nie zamierzamy tu wdawać się w rozważania osobowe, które nie są na miejscu w artykule poświęconym raczej samemu zagadnieniu. Nie można jednak nie wypowiedzieć przy tym tej oczywistej prawdy, że zagadnienia rozwiązują ludzie i że najpiękniejsze nauki moralne nie mają znaczenia, jeżeli za-

interesowani nie chcą lub nie potrafią ich zrozumieć.

Trudno również nie podzielić się myślą o pewnych szczególnych okolicznościach, dotyczących polskiego działania politycznego, t. j. rządowego; w warunkach tworzenia polskiego rządu na obczyźnie i — zwłaszcza — formowania zespołów do poszczególnych działów pracy rządu i wojska najczęściej nie można było przeprowadzić zasady bardzo starannej selekcji pracowników. To prawda! Ale w miarę upływu czasu należało — i należy jeszcze teraz — tę selekcję uzupełniać tak długo, aż ostatecznie w zakresie ludzkich i polskich możliwości dojdzie się do czegoś najlepszego. Taka cyrkulacja krwi w jednym i drugim kierunku — zwłaszcza od wojska do prac cywilnych i naodwrot (zawsze przy przestrzeganiu zasady kwalifikacji rzeczowej) — dałaby z pewnością bardzo dobre rezultaty. Wielu ukwalifikowanym ludziom często niedostatecznie zatrudnionym w wojsku, odebrałaby argument, że właśnie ukwalifikowaną inteligencję polską "zamknięto w wojsku", a innym natomiast, młodym urzędnikom, dałaby możliwość spełnienia obowiązku wojskowego, do czego odczuwają oni zapewne prawdziwą tęsknotę.

Po tych rozważaniach ogólnych występujemy z pewnymi wnioskami szczegółowymi. Pierwszy z nich dotyczy propagandy bezpośredniej, dwa następne mówią o zagadnieniach rzeczowych, często również związanych z propagandą.

Dotychczas propaganda polska w Wielkiej Brytanii za wiele wzoruje się właśnie na brytyjskim pojmowaniu tego słowa. Wiadomo, że Anglicy mają wstręt do samej treści tego pojęcia. Propaganda jest dla nich antytezą ich podstawowej zasady pedagogicznej, iż nigdy nie należy mówić o sobie samym. Teraz jednak i wśród Anglików coraz częściej dają się słyszeć głosy, iż należy od informacji przejść do propagandy, że należy nie tylko informować o wypadkach, ale również je oświetlać i w odpowiednim oświetleniu je do wiadomości podawać, że należy również umiejętnie szerzyć własne hasła i zasady i programy nawet, wśród tych, których zamierza się pozyskać.

Polska propaganda podobnie się przedstawia, ale zapewne z innych, niż brytyjska, powodów. Z różnych przyczyn, często niezależnych od naszych placówek i ich zespołów, nawet nasza informacja nie jest dostateczna, a co dopiero mówić o propagandzie! Weźmy przykład niedrażniący nikogo, bo daleki. Oto Brazylijanie, obserwując szczególnie działalność emigracji włoskiej i niemieckiej, dochodzą do wniosku, że trzeba stosować nacisk państwa wobec mniejszości emigracyjnych. Rezultat: szczególnie ciężkie ciosy spadają na emigrację polską, najbiedniejszą i dla Brazylii wcale niegroźną, a natomiast Włosi i Niemcy, liczniejsi i lepiej zorganizowani, neutralizują skutecznie skutki ustaw ograniczających mniejszości językowe. W sytuacji tej aż się prosi przeprowadzenie tezy propagandowej w Brazylii, iż właśnie na Polakach może się państwo brazylijskie oprzeć w swojej obronie przed zakusami potężnej emigracji niemieckiej. Trzeba było napisać o tym nie jedną i nie dwie książki propagandowe, oczywiście po portugalsku, a nie po polsku. Nie wiemy nic o tym, żeby napisano choć jedną! Tyle się pieniędzy wydawało przed wojną na Ministerstwo Spraw Zagranicznych i na propagandę polską! Co zaś ta propaganda dawała środowiskom zagranicznym, to przy sposobności najbliższej Czytelnikom prezentujemy na przykładzie z września 1939 r.

Trzeba więc tu, w Wielkiej Brytanii, dobrze jeszcze popracować nad daniem dobrych podstaw polskiej propagandzie. Trzeba, żeby ci, którzy mają ją prowadzić, mieli dobrze sformułowaną na swój użytek polską rację stanu i rozumieli, iż ich zadaniem jest przedstawienie tej racji w sposób przekonujący opinii brytyjskiej i amerykańskiej i kierownictwu politycznemu obu tych krajów. Ustalenie zasad tej racji stanu powinno być przedmiotem szczególnej troski rządu jako całości, który swe prace w tym kierunku powinien jeszcze pogłębić, braki dotychczasowe usunąć.

Następnie, w szczególności, powinno się przystąpić do szeroko zakreślonej akcji politycznej i propagandowej na zewnątrz. Do dotychczasowych w tej dziedzinie prac, — których wyniki nie mogą być kresem naszych dążeń i zamiarów — należało by dodać plan oddziaływania na rządy i środowiska polityczne państw najechnanych i okupowanych przez Niemcy. Rządy te, znajdujące się w Londynie, mają dzisiaj i mieć będą na konferencji pokojowej wcale duży ciężar gatunkowy, gdyż dysponują one wielu kontaktami i wpływami, których my nie

posiadamy. Wzajemna pomoc tych wszystkich rządów w dziedzinie propagandy, w dziale przyszłego urzędowania Europy, może dać duże rezultaty. U podstaw tej koncepcji współpracy praktycznej i niepisanych układów o wzajemnej pomocy politycznej i propagandowej leżeć powinno zrozumienie niebezpieczeństwa grożącego w przyszłości od pobitych Niemiec — a nie natomiast snucie jakichś mglistych rozważań o ogólnym urzędowaniu Europy.

Bo proszę zważyć: jakaż fala nierównowagi przeszła przez prasę brytyjską — zwłaszcza jej część popularno-informacyjną — po przylocie tu "oberszefa" niemieckiej piątej kolumny Hessa (naczelnik oficjalny wszystkich Niemców zagranicznych — Auslandsdeutschen). O wiele więcej rozsądku okazał lud angielski który zaczął opowiadać, że Hess przyleciał, ażeby wykonać zamach na Churchilla. W tym samym duchu wyraził się wybitny minister Labour Party p. Bevin, który określił Hessa zupełnie zgodnie z rzeczywistością jako mordercę. Ale jest faktem, że niektórym pacyfistom zaczęły się już roić pomysły zgoda niebezpieczne, o hitlerowcach złych i dobrych i t.d.

A teraz proszę sobie wyobrazić, że po zwycięskiej wojnie premierem niemieckim, który przystąpi do rokowań ze zwycięzcami, zostanie np. pastor Niemoeller. Czcigodny to podobno człowiek i ceniony nie tylko w kołach protestanckich w ogóle na całym świecie, ale i w niemieckiej Reichswehrze, pojętej jako pewne środowisko ideowe, podtrzymujące stare pruskie tradycje. Nic to zresztą dziwnego, skoro pastor Niemoeller dowodził w czasie poprzedniej wojny światowej łodzią podwodną. Dzisiaj pastor jest przez hitlerowców prześladowany i trzymany pod zamknięciem w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu, ale jakimś dziwnym trafem wiadomości z życia tego niezwykłego człowieka przenikają łatwo mury i druty kolczaste. Niedawno prasę brytyjską obiegła wiadomość, że mążny pastor ma za towarzysza innego oficera z wojny światowej Jezuitę Fr. Ruperta Mayera, który nawet nogę stracił w boju, i że ten towarzysz niedoli nawrócił Niemoellera na katolicyzm. W obozie tym — pisze Daily Telegraph w jednym ze swoich numerów lutowych — pastor Niemoeller pożyczął od ks. Mayera T.J. dzieła teologiczne. Otóż jak sprawa Niemiec na konferencji pokojowej przedstawiać się będzie, jeżeli ta czcigodna osoba zdoła przetrwać katusze obozów koncentracyjnych, — które już nie dziesiątkują, ale poprostu koszą kwiat inteligencji polskiej duchownej i świeckiej, — i stanie na czele nowego, pełnego dobrej woli i złożonego z samych dobrych Niemców rządu niemieckiego? Warto się zastanowić i to nie tylko nam, ale i Belgom i Holendrom i Norwegom i Czechom i wszystkim innym przez Niemcy zagrożonym.

Następny wniosek szczegółowy dotyczy sprawy odszkodowań wojennych. Rząd nasz z pewnością ma te sprawy również na warsztacie, ale czy nie należało by również pomyśleć o planie oddziaływania i w tej dziedzinie na inne rządy sprzymierzone i stowarzyszone?

Nie są to sprawy łatwe. Piszący te słowa rzucił w rozmowie w gronie oficerskim raz uwagę o długiej okupacji Niemiec, którą dzisiaj należałoby przygotowywać. Jeden z uczestników rozmowy odezwał się: po co nam długiej okupacji, ze trzy miesiące wystarczy!

Zdanie to — podane przykładowo, gdyż wyrażało ono tylko opinię jednostki — jest najzupełniej błędne.

Teoretycznie koncepcje odszkodowań i rewindykacji opierać się mogą bądź o rozwiązania przyjęte w Traktacie Westfalskim z roku 1648 (klauzule strategiczne), bądź też w Traktacie z 1871 r. (odszkodowanie gotówką w złocie) bądź wreszcie w Traktacie Wersalskim z 1919 r. (reparacje rozłożone na raty). Elementy te mogą być wzbogacone o szeroką praktykę niemiecką z obu wojen światowych: tej i poprzedniej. Przypomnijmy tu tylko taki szczegół, że w Traktacie Bukareszteńskim z 1917 r. Niemcy zabrały Rumunii traktatowo nawet cały tabor kolejowy, oczywiście nie pusty.

Praktycznie — zagadnienia związane z tą wojną mogą przedstawiać się jeszcze bardziej skomplikowanie. Przy najdalej idącej wyobraźni nie możemy przewidzieć, w jakim stanie znajdą się Niemcy w chwili zakończenia wojny. Jedno jest pewne, że jednym z podstawowych celów polskiej racji stanu przy prowadzeniu tej wojny musi być możliwie najdalej posunięte zniszczenie potencjału przemysłowego Niemiec. Ta sprawa musi mieć zasadniczy wpływ na cały problem rewindykacji. Byłoby rzeczą nierealną szukanie w tej dziedzinie dziś już

rozwiązań praktycznych, ale wydaje się rzeczą bardzo stosowną dążenie do studiowania problemu, pogłębianie go i przygotowywanie również w zakresie oddziaływania na sprzymierzeńców.

Wreszcie trzeba baczniejszą uwagę zwrócić na zagadnienie odpowiedzialności karnej osobistej za wybuch wojny i okrucieństwa popełniane w niej tak hojnie przez niemiecką armię i administrację okupacyjną. Jakże pięknie brzmiały słowa ambasadora brytyjskiego w Rumunii, który oświadczył, że rząd brytyjski czyni conductor'a i jego przybocznych ministrów osobiście odpowiedzialnymi za los Polaków, wydanych haniebnie przez tych quislingów Niemcom! Tu nie wystarcza odpowiedzialność polityczna, wyrażająca się w usunięciu danych polityków czy wojskowych w zacisze domowe, tu bowiem popełniane są zbrodnie, do jakich nie zdolna była pogańska starożytność ani barbarzyńskie i ciemne średniowiecze pierwszej części tego okresu historycznego. Nie może nie odpowiadać po naszym zwycięstwie szef niemieckiego lotnictwa, który dał rozkaz strzelania do opuszczających się na spadochronach załóg zniszczonych samolotów, mordowania dzieci i kobiet na łąkach, bombardowania i podpalania miast bezbronnych. Nie może nie odpowiadać szef marynarki wojennej, która torpeduje statki handlowe bez ostrzeżenia i bez zapewnienia załogom łodzi ratunkowych. A cóż dopiero mówić o zbrodniach popełnianych codziennie na narodzie polskim!

Trzeba te rzeczy przygotowywać i dla nich samych i dla

wygrania wojny! Tak jest, dla wygrania tej wojny! W dotychczasowym przebiegu tej wojny odgrywa i nadal odgrywać będzie dużą rolę czynnik psychologiczny, umiejętnie zaś postawiona już dziś sprawa odpowiedzialności za wojnę i zbrodnie w niej popełniane może w dużym stopniu przyczynić się do zwycięstwa. Trzeba Niemcom samym opowiadać dokładnie o zbrodniach popełnianych w Polsce, żeby im przypominać, że świat o tych zbrodniach wie i o sprawiedliwość dla ofiar się upomni!

A więc inicjatywy i jeszcze więcej pracy. Może jednak wysiłki nie są równomiernie rozłożone, może nie we wszystkich dziedzinach pracuje się wedle planu i metodycznie. Uwagi nasze nie mają zresztą na celu żądanie jakichś szczegółowych wyjaśnień, nie mniej jednak świadczą one o tym, że opinia polska w tym kraju bacznie śledzi prace rządu i że rząd pozornie uwolniony od trosk przekonywania społeczeństwa, że idzie drogą właściwą, powinien liczyć się z tym, że po powrocie sprawozdanie składać będziemy wszyscy. Rząd z tego, jak pracował, a inni obywatele tu znajdujący się nawet z tego, jak rząd w tej pracy obserwowali i naprostowywali. Opinia publiczna i kontrola w czasie wojny stosowane być powinny ze szczególniejszą rozwagą, są one jednak tak istotnymi atrybutami demokracji, że ich ani w tym kraju ani w przyszłej Polsce na dalszy plan usuwać nie można. Bezpartyjne Bloki Współpracy z Rządem w stosunkach polskich powtórzyć się już nie mogą.

Na co odpowiedzieć i co stwierdzić mamy obowiązek

CZYTELNIKOM "Myśli Polskiej" wiadomo dobrze, że, jak wszystkie zagadnienia omawiamy rzeczowo, tak szczególnie w kwestiach, w których wśród Polaków zdania są lub mogą być podzielone, zachowujemy daleko posunięty umiar w treści i oględność w formie. Powiadamy tylko to, co w tych sprawach powiedziane być musi, i to z intencją możliwie przekonania tych, którzy dotąd przekonani nie są, a nie w celu dokuczania im, uprawiania polemiki dla polemiki.

Byłoby dobrze, gdyby tak postępowano z wszystkich stron. Niestety nie wszędzie i nie zawsze widzimy umiar i oględność. Są ludzie, którzy uważają danie upustu swemu ferworowi autorskiemu czy oratorskiemu, swojej namiętności politycznej, za rzecz ważniejszą od skutku, jaki dane wystąpienia dadzą w opinii polskiej, czy oddziałają na nią w sensie dośrodkowym, czy odśrodkowym, rozdrażniającym stosunki.

Jedną ze spraw, wymagających przy ich omawianiu najwięcej umiaru i oględności, jest niewątpliwie to, co się składa na propagandę "legendy Piłsudskiego". Prosimy nas dobrze zrozumieć: kult dla ludzi wybitnych, o ile on jest kultem z przekonania, jest słuszny i uznania godny. Kto ma kult dla Józefa Piłsudskiego, tego kult szanujemy i nie myślimy przeciwko niemu występować. To jego rzecz wewnętrzna, to jego prawo.

Ale przeciwstawić musimy się spokojnie wprawdzie, lecz stanowczo propagandzie, która usiłuje w sposób sztuczny, niezgodny z rzeczywistością, narzucić społeczeństwu — mimo wszystko, co przeżyliśmy i co przeżywamy — w dalszym ciągu poglądy, których ono nie podziela i których sugestii sobie nie życzy.

Na polskim, a nawet na angielskim gruncie usiłuje się stworzyć fikcyjny przedział, nie odpowiadające prawdzie rozgraniczenie, wyrażające się w tezie: co zrobił Piłsudski, było wszystko dobre i dla Polski zbawienne; błędy popełnili dopiero jego następcy, jego epigonowie. Takie stawianie kwestii zmusza do odpowiedzi, stwierdzającej wyraźnie, że działania owych następców wiodą swym związkiem przyczynowym, swymi korzeniami do polityki i twórcy kierunku i obozu. Owi następcy byli i są tacy, jak ich wychował, jakimi się otaczał i jakim powierzył wpływy i rząd w Polsce Piłsudski. Uprawiali oni politykę wewnętrzną i zewnętrzną, która była prostą konsekwencją polityki Piłsudskiego.

Konsekwencją przede wszystkim wyrwania Rzeszy Niemieckiej z odosobnienia w Europie, które było początkiem tylu następnych błędów, nieszczęść, klęsk, tragedji. Nie myślimy zgoła nikogo rozgrzeszać, czy choćby pomniejszać jego winy o jotę — w Polsce, we Francji, w Anglii, w Czechosłowacji — powtarzamy: niczyjej winy ani o jotę, — ale prawda, stwierdzona co dopiero, pozostanie prawdą. Nie zdoła jej zmienić, czy zasłonić dorabianie teraz do dawnej "legendy" — nowej: "legendy legendy" o owym rzekomym przedziale, jaki pod względem odpowiedzialności robić należy między Piłsudskim a jego następcami.

Zaznaczamy rzecz tylko krótko, nie chcemy o niej pisać obszernie, przypominać szczegółów, dat, chronologii faktów itp.

Naszym zdaniem byłoby lepiej, gdyby na te tematy nie prowokowano dyskusji publicznych propagandą "legendy", "święta narodu polskiego w dniu 19 marca" itp. Gdyby tych rzeczy nie wysuwano bezwzględnie, nie byłoby i odpowiedzi publicznej.

Albo pytamy: czy można przyjąć milcząco do wiadomości fakt, że w dużym tomie pamiętników, wydanych po angielsku, a napisanych przez osobę najbliższą Józefowi Piłsudskiemu, czytamy o rdzennie polskim Pomorzu, (gdzie Niemców było niespełna 9 procent), jak gdyby o jakimś kraju z mieszaną ludnością polską i niemiecką, w którym jakoby był "istniał stan intensywnego rozgorzyczenia"? I czy wolno milczeć o tym, że w książce tej — zupełnie według niemieckiej terminologii — nazywa się Pomorze . . . "korytarzem, który coraz widoczniej stawał się zasklepioną raną, mogącą się każdego dnia otworzyć"? . . .

Milczenie w tej sprawie mogłoby być źle rozumiane przez tych z pośród naszych sprzymierzeńców ze sfer intelektualnych, którzy zagadnienia polsko-niemieckiego jeszcze nie widzą jasno, a byłoby na pewno w decydującym okresie politycznym wyzyskane przeciwko Polsce przez naszych odwiecznych wrogów. To też mamy prawo i mamy nawet obowiązek stwierdzić wyraźnie i głośno, że takiemu stawianiu sprawy, jak w przytoczonych pamiętnikach, i to przed obcym forum, przeciwstawia się bezwzględnie opinia już nie takiego czy innego polskiego kierunku politycznego, lecz całego narodu polskiego.

W sprawie ukraińskiej*

ZAINTERESOWANIE polskie sprawą ukraińską jest rzeczą zrozumiałą. Ukraina przez szereg wieków pozostawała w związku państwowym z Polską, względnie była prowincją Polski (od r. 1569). Samo nawet pojęcie Ukrainy przywodzi na myśl jej geograficzny stosunek do Polski (choć sama nazwa figuruje już podobno w średniowiecznych dokumentach). Różne piękne nasze tradycje i najbardziej bohaterские epepeje są nierozwalnie związane ze stepami ukraińskimi, Kijowem, Siczą, Porohami Dniepru, Kudakiem i Łubniami. Obok zaś tych pojęć, które oznaczają dla nas dalekie krańce naszego świata historycznego, mamy dwa jeszcze inne, bliższe nam i geograficznie i uczuciowo: Bar i Kamieniec Podolski.

Postaciami historii polskiej na tle wydarzeń naszego panowania na tych obszarach nie są tylko magnaci kresowi o wielkich i sławnych nazwiskach: Żółkiewscy, Koniecpolscy, Wiśniowieccy, Potoccy lub Sobiescy. W ich rzędzie znajdują się także kozacy i półkozacy, jak współtowarzysz największych naszych zwycięstw Sahajdaczny, jak mniej sławny ale nie mniej zasłużony Chmielecki i wreszcie tragiczny, prawdziwie na szekspirowską miarę buntownik i odstępca Bohdan Chmielnicki, twórca "nacionalizmu" ukraińskiego, lecz przedtem powiernik naszego wielkiego króla, Władysława IV.

Sprawa ukraińska, oprócz tych momentów sentymentalnych, dumy i goryczy, ma swój aspekt aktualny i realny. Jest nim obecność kilku milionów Rusinów-Ukraińców (jak się oni sami naprzemian nazywają) wobec podobnej niemal cyfry Polaków, zamieszkałych obok siebie od wieków na wspólnym terytorium. Lwów, Przemyśl, Tarnopol — oto pojęcia związane z tym zagadnieniem, które jest w tej formie naszym zagadnieniem.

Zainteresowanie Polaków sprawą ukraińską może i nawet powinno iść dalej jeszcze. Nie jest nam rzeczą całkowicie obojętną los całej reszty Ukraińców na tych obszarach, na których polskość jest coraz słabiej reprezentowana lub gdzie nie ma nas zupełnie, w takiej mierze conajmniej, w jakiej zwykliśmy się interesować sprawami naszych najbliższych sąsiadów. Nie żyjemy w izolacji, zwłaszcza w naszej części kontynentu.

Jedno trzeba jednak podkreślić. Sprawa ukraińska jako taka, jako całość zagadnienia, nie jest sprawą naszą. Nie do nas należy też wyrokowanie, czy i w jakiej mierze jest ona sprawą rosyjską. Pewną jest rzeczą, że sprawa ukraińska jest przede wszystkim sprawą samych Ukraińców.

II

Wydaje mi się rzeczą bezcelową dociekanie czy jakieś społeczeństwo jest narodem lub nie — jedynie na podstawie przesłanek całkowicie abstrakcyjnych i dowolnych, jak posiadanie takich czy innych cnót, takich czy innych warstw lub tradycji. Liczą się tylko same fakty i siła uporu, konsekwencja w tworzeniu własnej historii, żywotność i dynamizm ruchu narodowego. One wyłącznie dają prawo nazywać się narodem.

Ruch, który nie wykaże tego dynamizmu i nie zdoła wyrzesać z siebie koniecznego największego wysiłku materialnego i moralnego, będzie w praktyce tylko separatyzmem. Mamy separatyzmy w Katalonii, w Bretanii, we Flandrii, pewne jego objawy spotykamy nawet na terytorium Zjednoczonego Królestwa. Ale separatyzm pozbawiony ambicji ostatecznych, zadawała się autonomią, chociażby autonomią narodowościową.

Nie należy się ludzić, że wystarczy jakieś tendencyjne oddziaływanie z zewnątrz aby na gruncie pewnych odrębności kulturalnych i językowych utworzyć świadomy swoich celów naród. Aspiracje narodowe wyjść muszą od wewnątrz społeczeństwa a tylko ich siła będzie świadectwem obudzenia się narodu.

Tak przebudziły się w XIX w. narody włoski i czeski, tak powstał ruch litewski, a na Bałkanach grecki, bułgarski, serbski i rumuński.

Ruch ukraiński również już istniał — chociażby w swej niedoskonałej formie — na powierzchni społeczeństwa rusko-ukraińskiego, kiedy rząd autriacki ok. połowy XIX w. zwrócił

na niego swą uwagę. Twierdzenie, że Austria "wymyśliła" Ukraińców jest pewnego rodzaju naiwnością. Istniały bowiem niewygasłe tradycje epepei kozackiej, lub chociażby jej degeneracji — hajdamaczyzny, istniał już też w swoich szczytkach ruch kulturalno-narodowy, ożywiający w formie literackiej pieśni i legendy ludowe, tak samo prawie jak na terenie innych "obudzonych" narodowości. Dodać trzeba, że w ruchu tym wybitną rolę odegrali Polacy — "Ukraińcy".

Faktem natomiast charakterystycznym i wielkiego znaczenia dla ruchu ukraińskiego jest biegunowa różnica w jego nasileniu na terenie b. zaboru austriackiego oraz na właściwej Ukrainie tj. pod panowaniem rosyjskim. Tej różnicy nie podobna tłumaczyć jedynie sprzyjającymi dla jego rozwoju warunkami w Austrii, wzgl. później w Polsce, oraz trudnościami na terenie Rosji. Ukraińcy galicyjscy z uwagi na powyższą okoliczność chętnie porównywali się do Piemontu, który odegrał tak wybitną rolę w odrodzeniu Włoch. Zapominają oni jednak, że sam Piemont byłby bezsilny (nawet przy całej pomocy Napoleona III) bez żywiołowości ruchu narodowego w innych częściach półwyspu apenińskiego.

Pozornie mogłoby się zdawać, że ukraiński ruch narodowy aktywny jest tam wszędzie gdzie styka się z obcymi mu rasowo narodami, w przeciwieństwie więc do Rosji z którą łączy Ukraińców wspólne ruskie pochodzenie. Taka jest niewątpliwie teza rosyjska. Można by jednak na to odpowiedzieć, że jeżeli Ukraińcy istotnie są w gruncie rzeczy Rosjanami, ich myśl polityczna powinna się krystalizować w tęsknocie do Rosji, czego poza ruchem czysto intelektualistycznym tzw. Moskalofilów przed r. 1914 nie mogliśmy zaobserwować w masie ludu rusko-ukraińskiego na naszej ziemi. Kto wie czy nie jest słuszniejsze dość popularne u nas tłumaczenie tego fenomenu posiadaniem przez naszych Ukraińców własnego odrębnego wyznania, unickiego, które odróżnia ich nie tylko od katolickich Polaków, ale i od prawosławnych Rosjan. Unityzm jednak Ukraińców "zachodnich", jakimi się mienią, ma i dalszą konsekwencję, łączy ich poniekąd z zachodem, bo z Rzymem, a oddala od wschodnich Ukraińców. To przeciwstawienie wystąpiło bardzo wyraźnie w latach 1918-1919, kiedy istniały dwie republiki ukraińskie i dwa ukraińskie rządy.

Na wschód od Zbrucz żyje Ukraińców, względnie ludności posługującej się językami ukraińskimi (czy małoskimi) ok. 40 milionów. Nie da się wykluczyć, że na terenie tej masy wytworzy się z czasem ruch o aspiracjach prawdziwie narodowych. Jeżeli będą one bardziej żywiołowe, niż były dotychczas, ich rezultatem może być secesja Ukraińców ze związku z Rosją. Z drugiej strony możliwe jest, że forma federacyjnego stosunku wobec Rosji, choć by na luźniejszych podstawach niż w chwili obecnej, okaże się do pogodzenia z tymi dążeniami, jeżeli w ramach federacji znaleźliby Ukraińcy naprawdę możliwość rozwoju swego życia narodowego. Takie n. b. rozwiązanie zdaje się wróżyć Ukraińcom angielski historyk problemu ukraińskiego W. E. D. Allen w świeżo ogłoszonym dużym i interesującym studium "The Ukraine a history" (jakkolwiek nasuwającym szereg zastrzeżeń z punktu widzenia polskiego).

III

Powyższe uwagi sprzeczne są z pewnymi starymi tendencjami, które w zmienionej nieco formie odżyły wśród naszej emigracji. Tendencje, o których mowa, wciąż nawracają do błędnego założenia, mianowicie zakładając na partnera abstrakcyjnego lub conajmniej hipotetycznego. Jak wiadomo od r. 1920 tj. od czasu znanego układu z Petlurą brak ze strony przeciwnej jakiegokolwiek myśli o współpracy z nami (w każdym razie o ile chodzi o Ukrainę Kijowską). Cięższym jednak jest powracanie do koncepcji politycznej, którą historia i praktyka życiowa przekreśliły. Jest rzeczą drugorzędnej wagi pod tym względem, że urzeczywistnienie tej koncepcji w obecnych warunkach nie ma szans powodzenia i że powrót do granicy Władysława IV wykracza poza sferę możliwości. Gdyby bowiem warunki takie nawet zaistniały, to i tak nazwalibyśmy lekkomyślnością w stosunku do przyszłych losów Polski, próbowanie nowego w tym kierunku eksperymentu, po dotychczasowych zawodach.

* Niektóre twierdzenia, drugoplanowe, tego artykułu zostaną poddane krytyce w artykule redaktora "M.P." w następnym numerze.

Sprawa powyższa była przedmiotem krytycznych uwag p. M. E. Rojka w jego artykule "Dobre chęci ale niedobra polityka" w N-rze 2-gim "Myśli", przy czym podkreślane były przede wszystkim praktyczne i aktualne konsekwencje ponownego forsowania niefortunnego w naszej historii programu wschodniego, konsekwencje godzące w nasze najistotniejsze interesy. Powracając do tej kwestii w niniejszym artykule mam na uwadze "zagadnienie główne" naszej racji stanu. Polityka polska w latach 1918-1939 balansowała między dwoma okresami naszej dawnej historii; między tradycjami i wskazaniami narodowej koncepcji Królestwa polskiego Piastów, zwróconego całym swoim nateżeniem na zachód i na południe oraz wizją Rzeczypospolitej szlacheckiej trzech narodów z jej wspaniałymi i złudnymi wspomnieniami, Pskowa, Kłuszyna — i Cecory. Przyszła polityka polska powinna zerwać z tym dylematem i stanąć wyraźnie na gruncie utrwalonym odwiecznymi doświadczeniami, które same nieomylnie wyznaczają Polsce jej miejsce "pod słońcem", miejsce wybrane źle czy dobrze, przez legendarnego Lecha.

Taki winien być punkt wyjścia naszej polityki. Dalsze zaś plany i koncepcje muszą być organicznie zespolone z tym założeniem. Przede wszystkim muszą się geograficznie wiązać z kierunkami ciężenia naszego terytorium narodowego, położonego między Bałtykiem a doliną Dunaju, tak jak to miało miejsce w najdawniejszych czasach naszej historii, kiedy sam instynkt narzucał politykę. Owocem tej polityki był tysiąc lat temu pierwszy nasz sojusz w historii, sojusz z Czechami, który towarzyszył naszemu wejściu do społeczności narodów chrześcijańskich. Z tej samej polityki zrodził się sojusz Polski z Węgrami, który z czasem stał się potężnym instrumentem w rękach naszej monarchii. Później po rozmaitych wzajemnych doświadczeniach wyszedł z tych sojuszy związek ściślejszy, kiedy unia Polski z bałtycką Litwą stworzyła nowy wzór takich związków międzynarodowych. Cztery wieki, które dzielą nas od chwili upadku unii jagiellońskiej czterech państw i narodów

— raczej zdawałyby się potwierdzać celowość tej koncepcji.

Wydaje mi się wcale niewykluczone, że na zbliżonych podstawach staniemy wobec zagadnienia ukraińskiego — w jego zwięzonym ramach, zamkniętych w granicach Polski z r. 1939. Zarówno istnienie odrębnego problemu zachodnio-ukraińskiego, który pogłębią jedynie ostatnie perypetie, jak i niezmienny fakt skomplikowanych warunków narodowościowych i kulturalnych na odnośnym terytorium (nawet pomimo arbitralnych "wyrównań"), ze strony administracji sowieckiej, oba przemawiałyby za jakimś specyficznym rozwiązaniem, oczywiście nawewnątrz granic Państwa Polskiego. Przewidywana odmiennosc od dotychczasowych form prawno-politycznych nowej Polski — z uwagi na projekt federacji — mogłaby dopomóc nam w rozwiązaniu tego problemu.

IV

Niektórzy "imperialiści" polscy zwykli nazywać program, rezygnujący z wielkopańskich fantazji na temat "życiowego obszaru" na wschodzie — programem "małej Polski". Nie chcą oni bowiem rozumieć, że prawdziwej wielkości naszego państwa, to znaczy siły, nie można budować z piasku lub na lodzie. Program wielkiej, a więc trwałej Polski budowany być musi na przesłankach prawdziwej wielkości i siły, a nie urojonej.

Siłą rzeczywistą jest Naród polski i będzie on tym większą siłą, jeżeli ustrój który sobie sam zaprowadzi po wojnie będzie gwarancją jego mocy. Nikt się dzisiaj nie ludzi, że w położeniu geograficznym Polski nie może ona stać jedynie na swojej własnej sile — i aby nie stać się satelitką innych, silniejszych, chce ona związać się ze słabszymi sąsiadami, będącymi w tej samej sytuacji, za głosem jagiellońskiej dewizy "równi z równymi . . ." Właśnie po tej linii idzie tak szczęśliwie przez nasz Rząd zainaugurowana polityka współpracy z Czechami, pojęta z obu stron jako wstęp do szerszej pojętego planu współpracy międzynarodowej.

T. P.

Problem śródziemnomorski

MORZE Śródziemne tak się do niedawna utożsamiało z kołębłą śródziemnomorskiej właśnie cywilizacji, iż z przymusem nieledwo i zdziwieniem przychodziło nam myśleć i mówić o nim jako o arenie przyszłych wypadków wojennych i bitewnych. Ta kultura śródziemnomorska wydawała się tak pełna słońca i radości życia, śpiewu i wina, poezji i sztuki, uśmiechu i tańca: taką była Italia, taką Prowansja, taką Andaluzyja. My ludzie północy, Słowianie, Anglicy — a też i Niemcy, ale ci z duchem zaborczości — wędrowaliśmy tam zawsze, nad brzegi Morza Śródziemnego, aby odpocząć, zaczerpnąć tchu, a też i tworzywa do dalszej pracy twórczej. Dziś to błękitne morze staje się w oczach naszych krwawe, tak jakby czerwone, jak krew, skalki nadbrzeżne Jasnego Brzegu roztopiły się w wodzie i czerwienią swą zakłóciły spokojny, kojący lazur morza.

Jest w takim ujęciu sporo prawdy psychologicznej i sporo historycznego błędu. Tak, wspaniała kultura śródziemnomorska niosła za sobą spokój i radość, ale niosła je, jako długi, wiekowy osad dłuższych jeszcze w przeszło, zmagania się, krwawych nieraz i niszczycielskich. Bo już to tak jest w historii i życiu, że to co wielkie powstaje z walki: inaczej bywa tylko w idyllach, które nawet w poezji znane są jako sztuczne.

Morze Śródziemne jest przeciw z samej swej definicji geograficznej i geopolitycznej, morzem kresowym. Spotykają się dzięki niemu, spotykają się na jego falach, na nim, trzy lądy, trzy kontynenty, a więc jednoczy ono całość starego świata. Aż do końca XV wieku ludzkość oddychała właściwie tym jednym płucem, i wystarczało to jej do pełnego oddechu . . .

Nic więc dziwnego, że pełno było na nim przygód i wojen. Nie sięgając za daleko w przeszłość przedhistoryczną, wystarczy wskazać przypomnieć o kulturze egejskiej na Krecie i jej zmaganiu się z przemożnym barbarzyństwem północnym, do którego należała przyszłość, o walkach Persów z Grekami, Greków z Italotami, o kolonizacyjnych wyprawach greckich.

Ponad wszystko pamiętać tu trzeba o rzymskim Imperium, o jego zagarnięciu całości basenu śródziemnomorskiego, po wiekowych podbojach, po całkowitym zrównaniu z ziemią takiej potęgi, jaką była Kartagina. Wszystko to odgrywało się na błękitnym grzbiecie śpiewnego, pogodnego, lazurowego Morza Śródziemnego . . .

Po upadku imperium rzymskiego zjawiała się tam nowa potęga — muzułmańska. Na wieków długi szereg zawojowali Arabowie nie tylko północne brzegi afrykańskie, ale i Hiszpanię. Po tym stanie rzeczy została się nam pamiątka w postaci geograficznego miana — Gibraltar. Całe średniowiecze przedstawia się na Morzu Śródziemnym jako półhandlowe a półkorsarskie współzycie okrętów weneckich, genueńskich i hiszpańskich z jednej strony, maurytańskich z drugiej. Cały handel t. zw. lewantyński szedł tymi i takimi szlakami, nie bez ciągłych przygód i niebezpieczeństw.

Nowszy okres dziejów z wiekiem XVI-ym przyniósł na tej arenie fakt podwójny, nie tylko zawalenie się hiszpańskiej potęgi muzułmańskiej, ale i ogromny wzrost morskiej potęgi pozornie dalekiej Anglii. Na zamach hiszpańskiej Wielkiej Armady nastąpiła z angielskiej strony w wieku XVIII-ym riposta w formie zajęcia Gibraltar i coraz wyraźniejszego zainteresowania się Afryką.

Zainteresowanie się to było tak duże, że aż zaniepokoiło Francję. Stąd napoleoński epizod Egiptu. Stąd zwłaszcza brzemienna w skutki wyprawa Algierska z roku 1830. Przy dużym sprzeciwie ze strony Anglii, Francja, monarchja francuska (tak Karol X jak i Ludwik-Filip) w latach 1830-1848, założyła potężne podwaliny pod przyszłe olbrzymie północno-afrykańskie imperium francuskie. Okazało się w następstwie, że przy ustępstwach z obu stron (Fachoda!) współzycie mocarstwowe Francji z Anglią mogło być doskonałe . . .

W wieku XX-stym ambicje swe zgłosiła Italia i zagarnęła Trypolitanię, a ostatnio i Abissynię.

Taką jest historia.

Stan obecny jest w najwyższym stopniu zaogniony i nie waruje dobrych warunków do obowiązującej na przyszłość diagnozy. Niemniej przystąpić do tego obrazu potrzeba. Jak zwykle, najważniejsza jest tu geografia.

Ta — o dziwo — nie okazuje się niezmienna. Ktoby naiwnie sądził że geopolityka stanowi element trwały przez wieki i tysiąclecia, tenby się mylił dotkliwie . . .

Jakoż, okazuje się, że Morze Śródziemne dziś przedstawia zupełnie inne warunki, zadania i zagadnienia niż przed stu laty! Dokonało tej zmiany przekopanie Kanału Sueskiego w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Z chwilą obalenia barjery, jaką stanowiło międzymorze Sueskie, Morze Śródziemne jakby się przelało w Morze Czerwone, które stanowi dziś jego naturalny, i może najważniejszy ciąg dalszy. Na drodze łączącej Europę, więc i Wielką Brytanię z jej cesarstwem Indyjskim, znajdują się jakby trzy śluzy: Gibraltar, Suez i Aden, którego przesmyk ludzie wschodni zowią Doliną Łez . . .

Dziś, gdy w oczach naszych wojna zamienia się — i już zamieniła — w wojnę kontynentów, owa ogromna między-ładowa dolina śródziemnomorska stała się bodaj główną areną walki. Imperium kolonialne francuskie byłoby te rejony może obroniło przed wojną, stanowiąc element równowagi prawie niemożliwy do obalenia dzięki bastjonom Maroka, Tunisu i Dżibuti naprzeciw Adenu, u wrót Abisynii. Z chwilą runięcia obronności francuskiej, rejony śródziemnomorskie stanęły u wrót wojny włosko-angielskiej, z powodu ogromnej przewagi włoskiej w wstępnej fazie operacyj wojennych, przewagi zawinionej właśnie zniknięciem sprzymierzonych z angielskim partnerem sił francuskich . . .

Wogóle afirmacja obecności Italii na Morzu Śródziemnym stanowi główną nowość wprowadzoną tam przez wiek XX. Libia i Abisynia, pojawienie się dużej floty morskiej i powietrznej — oto elementy, które całkowicie zmieniły były układ sił na Morzu Śródziemnym.

Dziś, dzięki wysuniętemu na południe "butowi" włoskiemu, Sycylii i obronnej Pantelarii, morze Śródziemne rozpada się właściwie na trzy części odrębne: zachodnią między Gibraltar-em a Sycylią, wschodnią między Italią a Turcją i Suezem, i Morze Czerwone. Kruczalne znaczenie Afryki francuskiej dla części zachodniej, Grecji (Krety) i Turcji dla wschodniej,

Egiptu i Adenu dla Morza Czerwonego jest tu oczywiste i leży jak na dłoni.

Nad całością zagadnienia czuwa nieporównana flota Jego Królewskiej Mości. Dowiedziała się o tym niedawno flota włoska, której potęgą dziś zmniejszyła się znacznie.

Oczywiście Italia z Morza Śródziemnego nie zniknie nigdy, bo jest tam jednym z gospodarzy. Naturalny i zdrowy układ sił musi przewidywać równowagę między oboma nad tym morzem głównymi tubylczymi gospodarzami Francją i Italią oraz daleką, ale bardzo bliską Anglią, daleką pozornie, a bliską dzięki swemu uniwersalnemu Imperium. Ten układ, zdrowy i normalny, zakłócony został dzięki pojawieniu się czwartego, nieproszonego gościa niemieckiego, który tam nic naturalnego nie ma do powiedzenia. Nad jego od tej areny oddaleniem pracować winien w przyszłości zdrowy front śródziemnomorski, gdzie, obok czterech siostrzyc łacińskich Francji, Italii — po wyleczeniu narodu włoskiego z białej gorączki faszystowskiej —, Hiszpanii i Portugalii, znaleźć się musi i Anglia, której stos pacierzowy, łączący Wielką Brytanię z Indiami, przechodzi właśnie przez to Morze Śródziemne.

Morze to jest tak przemożnie ważne, iż u jego wylotu Starożytni widzieli Słupy Herkulesa, poza które ponoć jeden tylko Odysseus marzył o wyprawie, Odysseus, największy awanturnik — przed późniejszymi wielkimi odkrywcami Nowego Świata.

Dziś Antlasyk jest już dla nas tylko ogromnym jeziorem między Starym a Nowym Światem. Ale Morze Śródziemne pozostało, po dawnemu, basenem kluczowym dla Europy i jej komunikacji materialnej i duchowej z bliskim i dalszym Wschodem oraz z południowym ogromnym, coraz bardziej z Europą związanym łądem czarnym, łądem Afrykańskim. Basen ten, po dawnemu, ma swe zamki i rygle u Gibraltar-u, Suez-u i Adenu: o nie to pójdzie walka najtwardsza.

Dzisiejszy etap znaczony jest całkowitym oswojeniem Adenu, więc morza Czerwonego, oraz dalekim jeszcze zasachowaniem Suez-u.

Gibraltar jest dotąd tylko ośrodkiem pewnych ofensyw dyplomatycznych.

O Suez i Gibraltar rozbić się mogą fale zalewu niemieckiego.

Słupy Herkulesa stoją dalej hardo, pamiętne swych tysięcy historii i legendy.

Junius

Dziedzice Bismarcka

MATKA Wilhelma II była córką królowej Wiktorii. Próbowała oddziaływać na swoje dziecko zasadami, które były jej bliskie — liberalizm, humanitaryzm, arystokratyzm ducha i demokratyzm stosunku do bliźnich. To wpajał w nią systematycznie ojciec, książę Albert, osobiście zajmujący się jej wychowaniem. Miarą niepowodzeń wszystkich starań troskliwej matki stał się fakt, że listy nieszczęsnej Wiktorii Luizy zachowały się potomności tylko dzięki temu, iż znalazła przyjaciela, który wykradł je — z przed czujnego oka nasłanej przez cesarza Niemiec policji — z miejsca, gdzie dogorywała. W listach tych, pisanych do matki, musiały przyznać, że na Wilhelma II znacznie bardziej oddziaływał wpływ Bismarcka, niż jej nietylko dobre, ale i mądre słowa:

"Przeżył on pod wpływem Bismarcka długie i dobre przygotowanie. Zanikło w nim zupełnie wszelkie wyczucie prawa czy niesłuszności; zatracił wszelki zmysł wdzięczności, rycerskości, szacunku, synowskiej miłości oraz współczucia dla nieszczęśliwych".

Syn stał się matce równie daleki, jak nastrój ówczesnych zapruszczonych Niemiec, nastrój obcy atmosferze Anglii, moralnej i silnej swą praworządnością oraz demokratyzmem. W listach do wielkiej Wiktorii biedna cesarzowa nie tylko róż-

pacza nad rodzinnym zawodem. Jest także rozgoryczona zawodem Europejki, która liczyła na to, że znajdzie chyba w Niemczech koła, przystępne ideałom każdego Anglika. 11 października 1888 r. pisała o polityce Bismarcka i o ludziach tę politykę popierających:

"On uważa wielką centralną siłę za konieczność i wierzy, że o wszystkim winna decydować jedna jedyna wola. Wszystkim w tym systemie ma być państwo. Wszystko ma działać tak, jak w kompleksie jakiejś maszyny . . . Ja nie chcę tego stanu rzeczy, lecz większość Prusaków i konserwatyści kochają ten system".

Z równą jasnością, z jaką krytykowała syna, oceniała i skutki metod bismarckowskich w życiu publicznym:

"Ludzie niezależni milczą, ponieważ zmuszono ich trzymać język za zębami. Cała machina prasowa jest w rękach Bismarcka. Jedynie w samym Berlinie rząd rozkazuje 33 tysiącom urzędników; wszyscy oni głoszą tylko te opinie, jakie kanclerz im narzuca. Samowola, tyrania i despotyzm stanęły u steru — jest rzeczywiście smutno. Kiedyż powstanie przeciwko temu jakaś reakcja, jak będzie wyglądała, co będzie reprezentowała?"

I znowu w innym liście:

“Jest rzeczą prawie niemożliwą żyć w Berlinie, o ile się człowiek nie podda niewolniczo Bismarckowi. Partia jego, jego zastępcy i ci, którzy go podziwiają, są przy tym pięćdziesiąt razy gorsi. Ma się to uczucie, że trzeba głośno wołać wybawienia”.

W Trzeciej Rzeszy nic w porównaniu z Drugą się nie zmieniło. Trwa ten sam system; nawet gorszy. Austin Chamberlain zachwycał się w czasie swych studiów w Berlinie kulturą i inteligencją Bismarcka, u którego bywał często w domu. Mowy Bismarcka mają rzeczywiście piękną literacką i polityczną logikę. Wilhelm II górnolotnie paplał. Natomiast w przemówieniach Hitlera, napisanych złym językiem niemieckim, objawia się tylko demagog, ktoś, kto Wiktorii Luizie — prawdziwej Europejce — wydawałby się warchołem europejskiej wspólnoty. I nierównie gorszy jest wpływ, który ci ludzie kolejno wywierali na społeczeństwo niemieckie. Bismarck jeszcze ścierał się z parlamentem, jeszcze dyskutował, przekonywał i doznawał zawodu. Wilhelm II jednym ze swych niezręcznych wystąpień pasował sobie na jedyne źródło prawa. Może jednak uchodzić za demokratę wobec perfekcji, z jaką niedouczonego mechanika politycznego Hitler zamienił życie i zdanie jednostek w Niemczech w trybiki, przekładnie czy opilki państwowej obrabiarki.

Wiktoria Luiza wołała o reakcję i czekała na protest. Nie przyszedł. Prusacy, klika wschodnio-pruska (określona przez Wiktorię Luizę jako szczególne zło niemieckiej polityki) i konserwatyści poszli za Bismarckiem. Junkrzy i ciężki przemysł pomogli Hitlerowi. Hess werbował w czasie swych wystąpień agitacyjnych na uniwersytetach niemieckich inteligencję, Goebbels był wybrany do Reichstagu przez robotników. Gdy świat widział już w Hitlerze podpalacza pokoju, gdy nawet Neville, brat Austina, czuł swąd tłącego się pożaru, jeszcze wtedy na urodziny Führera 20 kwietnia 1939 r. Rudolf Hess zaprzysięgał 995 tysięcy nowych członków partii narodowo-socjalistycznej. Społeczeństwo niemieckie zawsze tykało haczyki, na których była przyczepiona stara, frydrycjańska przynęta — szowinizm i imperializm.

Cytujemy znowu listy Wiktorii Luizy. Pisała do władczyni Wielkiej Brytanii:

“Jego życzeniem jest narzucać Niemcom przekonanie, że będą przez cały świat napadnięci, skrzywdzeni, obrażeni i zdradzeni w swych żywotnych interesach, o ile on ich od tego nie ustrzeże. Wielu jest na tyle głupich, nieświadomych i krótkowzrocznych, że w to wierzą.

... On nigdy poważnie nie wierzył w konieczność posiadania kolonii, ale popiera mimo to sztuczny i na bezdroża kierowany entuzjazm w sprawie Samoa i Zanzibar, aby... przez wymachiwanie patriotycznym sztandarem i przez dęcie w nacjonalistyczne tuby uzyskiwać od Reichstagu to, co mu jest potrzebne.

... Wszystko obce, zwłaszcza angielskie, jest tu znienawidzone, gdyż węższy się w tym skłonności liberalne.

... Chciałabym bardzo, aby rząd niemiecki porzucił wreszcie politykę ciągłych fajerwerków, zaskoczeń budzących zdziwienie itd, gdyż podniecają one samolubstwo, zarozumiałość i przesadny nacjonalizm społeczeństwa niemieckiego do granic śmieszności”.

Nie! To nie teraz pisane. Wiktoria Luiza już dawno nie żyje. To jest ocena czasów Bismarcka i Wilhelma, listy z lat: 1888, 1889 i 1900. Historia się oczywiście nie powtarza. Powtarzalność reakcji i nastrojów w Niemczech jest jednak bardzo zastanawiająca, zwłaszcza dla tych, którzy historię Niemiec znają, bo może nie dla tych, którzy — jak wielu ludzi w Anglii — mierzą świat moralomierzem własnej prawości.

Historyk niemiecki Fritz Hartung w książce “Volk und Staat,” wydanej w 1940 r. słusznie pisze, że do wieku XIX

w ogóle nie istniał żaden zwarty, świadomy swej spoiwości naród niemiecki. XIX wiek w oparciu o jądro pruskie stworzył zwartość państwa, Hitler w XX wieku rzucił hasło spoiwości narodu niemieckiego. Cały zaś ten rozwój dokonał się kosztem organizmów państwowych znacznie starszych swą organizacją — Polski, Francji, Anglii i katolickiej Austrii. Naród niemiecki wyrósł więc na przestrzeni tej ostatniej setki lat na plutokratę wśród innych, na dorobkiewicza z krzywdą sąsiadów. Wyniósł z tego psychikę nowobogackich, która nie tylko nie pojmuje kultury współżycia z innymi, ale która nie zna umiaru urządzania sobie własnego domu na wewnątrz. I dzięki temu jest w Niemczech zawsze miejsce dla dziedziców Bismarcka.

Oczywiście sami Niemcy uważają siebie za spadkobierców w prostej linii ideologii cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego. Niedawno “Völkischer Beobachter” drukował artykuł o państwach tysiącletnich — Japonii, Italii, Rzeszy. Nie mają racji. Tamta Rzesza stawiała sobie cele uniwersalistyczne, zastąpione potem ambicjami dynastycznymi, niezbiegającymi się z interesem narodu, bo narodu niemieckiego wtedy jeszcze nie było. Drugą i Trzecią Rzeszę trzeba uważać za twory młode, wywodzące swą genealogię nie z uniwersalizmu cesarstwa rzymskiego, lecz z zaściankowości pruskich raubritterów, zapóźnione doświadczeniem państwowym, o brakach i wadach, niebezpiecznych dla wspólnoty europejskiej.

Wojna 1914-18 była wywołana tymi przywarami, które od czasu Wiktorii Luizy jeszcze się wzmogły. Kończono ją przekonaniem, że może starczy Niemcom tych ciężkich doświadczeń. Na tym złudzeniu wyrósł flirt Brianda ze Stresemannem. To złudzenie patronowało wpuszczeniu Niemców do Ligi Narodów. Na tym złudzeniu chciano budować zasady “Paktu Czterech”. Tymczasem państwa rozwijają się organicznie. Cudów w procesach biologicznych nie ma, żaden etap rozwoju nie może być przeskoczony. Niemcy wojny światowej na swej skórze nie odczuli. Odczuli ją znacznie więcej ci, którym już te doświadczenia nie były potrzebne. Żołnierz niemiecki na urlopie, 30 kilometrów za frontem, czy gdzieś w rodzinnym miasteczku lub wsi, zastawał domki z czystymi firankami w oknach, z mirtami i fuksjami za szybami, Mütterchen przygotowywała kawę, kawa była zbożowa, ale nikt z nieba nie przeszkadzał jej wypić. Wojna nie rozgrywała się na terenie niemieckim.

Wilhelma II zluźował za poparciem narodu niemieckiego Hitler. Biblią udzielonego Führerowi poparcia były pieniackie mowy o rewanż z przed 1933 r., a nie częste oferty pokojowe składane przez narodowo-socjalistycznych dostojników po objęciu władzy — jak na przykład mowa Rudolfa Hessa z 8 lipca 1934 r., wygłoszona w Królewcu z apelem do wszystkich byłych kombatantów świata. Tego samego Hessa, który parę dni przedtem publicznie zapowiadał uśmierzenie rewolty Röhma. Wybuchła nowa wojna, zakalec okazał się dla Europy znowu niestrawny.

Czy obecne zmagania odegrają rolę ostatecznego pedagogicznego pouczenia Niemiec? To zależeć będzie od stopnia realizacji najgłówniejszego celu wojny — celu przekonania całego narodu niemieckiego, że nie warto być klóćcielem pokoju, że to się nie opłaca, że za winy kierowników państwa odpowiadają jego obywatele. Cel zostanie osiągnięty tylko wtedy, gdy świadomość tych praw dotrze do przekonania każdego Niemca, hitlerowca na równi z socjalistą i konserwatystą, Prusaka na równi z Nadreńczykiem. Tylko wtedy lepsze i gorsze wydania Bismarcka stracą posłuch. Cel ten nie wymaga stosowania wobec Niemiec okrucieństwa, mogącego budzić zastrzeżenia moralistów; chodzi tylko o stosowanie metod tak bezwzględnych i surowych, jak surowym i egoistycznym jest państwowe barbarzyństwo naszych przeciwników. Barbarzyństwo — etap rozwoju państwa, barbarzyństwo — poziom kultury zbiorowej.

Opinie wymagające naprostowania

POWAŻNY tygodnik angielski "The Observer" zamieścił w numerze z d. 11 maja artykuł swego "korespondenta dyplomatycznego" na temat stosunków angielsko-rosyjskich — artykuł, zasługujący na uwagę z naszej strony. Autor wysuwa sugestię, że jedną z głównych przyczyn niedojścia do zbliżenia między Wielką Brytanią a Z.S.R.R. jest sprawa krajów bałtyckich i wschodnich obszarów Polski, okupowanych przez Sowiety, których aneksji rząd angielski nie chce uznać. Głównym elementem "konfuzji" w stosunkach między obu krajami — jest jego zdaniem — "the position of Poland."

Tego samego dnia inne czasopismo niedzielne "Sunday Dispatch" zamieściło wywiad z G. B. Shawem, propagujący zbliżenie W. Brytanii z Rosją Stalina, którego Shaw jest, jak się zdaje, gorącym adoratorem. Shaw twierdzi, że wschodnim obszarom Polski, które nazywa "Białorusją" ("Bielorossya"), lepiej jest teraz pod panowaniem Sowieców, niż było dawniej pod rządami polskich "landlordów". Broni również zaborów rosyjskich, dokonanych przez Sowiety w stosunku do Finlandii i Rumunii — słowem aprobuję i pochwała wszystkie popełnione przez bolszewików akty przemocy.

Tygodnik "The New Statesman and Nation" w numerze z d. 18 maja w dziale "A London Diary" solidaryzuje się ze stanowiskiem Shawa w odniesieniu do Polski i Rumunii i wyraża opinię, że jest ze strony rządu polskiego rzeczą niemądrą pozostawać w stanie formalnej wojny z Rosją z powodu terytoriów, których "my (tj. Anglicy) nie mamy ani zamiaru ani możliwości odzyskiwać dla Polski". "New Statesman" wysuwa jedynie zastrzeżenia co do podbojów, dokonanych przez Rosję na Finlandii.

Jakąż jest waga i znaczenie powyższych głosów? Bernard Shaw — sędziwy pisarz i dramaturg, którego sztuki wystawiane były w Polsce niekiedy jeszcze nawet przed pojawieniem się ich na scenach angielskich — zdobył sobie sławę przede wszystkim jako esprit de contradiction, autor różnych paradoksalnych sformułowań, które pasjonowały publiczność swą błyskotliwością, nie zawsze jednak trafiały jej do przekonania, zwłaszcza jeżeli wkraczały w dziedzinę polityczną. Wątpić należy, czy gloryfikowanie Stalina zwłaszcza w obecnym okresie wojny, w którym pierwszym aktem nowego premiera Z.S.R.R. było uznanie rządu najemnika berlińskiego Raszyda Alego (poprzedzone aprobatą zaboru Jugosławii, Belgii i Norwegii w dziedzinie dyplomatycznej) — spotkać się mogło z uznaniem czytelników brytyjskich.

Stanowisko tygodnika "The New Statesman and Nation" w sprawie ziem wschodnich Polski było zawsze nam nieprzychylnie. Obecne wystąpienie tego pisma jest jedynie powtórzeniem dawniejszych sądów.

Pewne zdziwienie budzić musi natomiast opinia, wypowiedziana przez "korespondenta dyplomatycznego" "Observera", pozbawiona zresztą wszelkich sformułowań bezpośrednio godzących w interesy Polski. "Observer" jest pismem, redagowanym przez ludzi o wielkiej wytrwałości sądów i znajomości rzeczy. Znakomite artykuły jego naczelnego publicysty, J. L. Garvina łączą w sobie płomień ideowego entuzjazmu z chłodną i bystrą oceną rozgrywających się wydarzeń. Garvin jest przy tym zdeklarowanym przyjacielem Polski; pamiętamy jeszcze wszyscy dobrze jego wspaniałą manifest z końca stycznia 1940 r., piętnujący barbarzyństwa niemieckie, popełniane przez Niemców na narodzie polskim. Obok Garvina w "Observerze" pisywali i pisują inni doskonali publicyści, np. Wickham Steed.

W tym wypadku trudno nam jednak pogodzić się z konkluzjami "dyplomatycznego korespondenta" tego pisma. Nie da się jednak zaprzeczyć, że poglądy te są w Wielkiej Brytanii dosyć rozpowszechnione; pewna ilość Anglików jest istotnie przekonana, że sprawa polska ziem wschodnich stoi na przeszkodzie zbliżeniu angielsko-rosyjskiemu i przejściu Rosji do obozu przeciwniemieckiego.

Nie trzeba być wcale Polakiem i nie trzeba w ogóle bronić interesów polskich, by stwierdzić, że pogląd ten jest zupełnie

niesłuszny. Sprawa Polski i jej terytoriów wschodnich odgrywa w dzisiejszej polityce Stalina rolę zupełnie podrzędną, — można nawet powiedzieć, że nie odgrywa w tej dziedzinie żadnej roli. Postępowanie dyktatora bolszewickiej Rosji już od dwóch lat podyktowane jest przede wszystkim strachem przed siłą militarną Niemiec — i stąd polityka a p p e a s e m e n t wobec Trzeciej Rzeszy, przypominająca zresztą żywo politykę zachodnich mężów stanu i min. Becka przed rokiem 1939.

Stalin boi się panicznie sprowokowania inwazji niemieckiej, która doprowadziłaby niewątpliwie w ciągu krótkiego czasu do pogromu Rosji i pociągnęłaby za sobą upadek reżimu bolszewickiego. Dyktator Z.S.R.R. spodziewa się przez ciągłe ustępstwa wobec Hitlera przebrnąć przez ten niebezpieczny okres do czasu, gdy łączny wysiłek W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych złamie kość pacierzową odrodzonego militarysty germańskiego.

Powtarzamy: jest rzeczą jasną, że sprawa polska w tym wszystkim roli żadnej nie gra — i takie czy inne z tego zakresu posunięcia Wielkiej Brytanii nie mogą mieć wpływu na ustosunkowanie się Sowieców do toczących się dziś zmagania. O polityce Stalina decydują konsyderacje znacznie ogólniejszej natury.

O tym powinniśmy przekonywać tych spośród naszych przyjaciół brytyjskich, którzy wyznają scharakteryzowane wyżej poglądy. Równocześnie rzeczą jest konieczną odpowiednio naświetlanie zagadnienia naszych ziem wschodnich, w tym zakresie bowiem panuje w części opinii brytyjskiej największa dezorientacja. Opinie, wypowiadające się za pozostawieniem tych terenów Rosji, jako rzekomo bardziej rosyjskich niż polskich, spotykamy nie tylko na łamach tych czy innych czasopism, ale także w niejednej książce, poświęconej problemom terytorialnym kontynentu europejskiego (np. w omówionej w poprzednim artykule rozprawie p. Wanklyn "The Eastern Marchlands of Europe").

Argumenty, jakich tu należy używać, omówimy w jednym z najbliższych numerów "Myśli Polskiej"; są one zresztą tak liczne i przekonujące, że trafić muszą do przekonania każdego Anglika, posiadającego poczucie sprawiedliwości i politycznego "common sense". Dwa argumenty — poza zestawieniem naszych uprawnień natury historycznej, etnicznej, kulturalnej i gospodarczej — są tu szczególnie ważne.

Pierwszy — to stwierdzenie faktu, że traktat w Rydze, który ustalił granicę polsko-rosyjską w r. 1921, — nie był zgoła jakimś dyktatem, lecz układem, uwzględniającym interesy obu stron, w którym Polska, chcąc doprowadzić do trwałej normalizacji stosunków, poniosła największe ofiary; zrzekła się ona mianowicie praw do około 300.000 km. kw. obszarów, należących do niej aż do okresu rozbiorów. Polska zatrzymała tylko tyle, ile jej się słusznie należało i ile jej potrzeba, by nie była państwem małym i słabym, uzależnionym całkowicie od Niemiec. Rosji ziemie, które znalazły się po zachodniej stronie granicy, wykreślonej w Rydze, zgoła nie są potrzebne, — dla Polski natomiast ich posiadanie jest sprawą gardłową.

Drugi ważny argument: bardzo wątpliwym aksjomatem jest twierdzenie, że sprawa polska będzie zawsze czynnikiem, spajającym interesy rosyjskie z niemieckimi. Mamy tu do czynienia z sugestią, zaszczeploną przez Bismarcka, której ukoronowaniem była znana konwencja z Alvensleben — sugestią jednak z punktu widzenia rosyjskiego nie wytrzymującą krytyki. Dla Rosji Sowieckiej — a i każdej innej Rosji — z pewnością znacznie korzystniejszą jest rzeczą być oddzielnym od Niemiec przez silne, pokojowo usposobione państwo polskie, niż z nimi sąsiadować bezpośrednio. Pogląd ten zresztą niejednokrotnie wypowiadało wielu wybitnych polityków rosyjskich — bolszewickich i niebolszewickich — i winien się on stać jedną z podstaw ułożenia stosunków polsko-rosyjskich w przyszłości. Zwycięska Anglia mogłaby odegrać dużą rolę w takim właśnie stawianiu sprawy, uwzględniającym słuszne interesy wszystkich zainteresowanych czynników.

* * *

Na zakończenie jedna uwaga. Trafnie często wypomina się braki naszej oficjalnej propagandy, ale nie wystarcza kryty-

kować, trzeba działać samemu. Nawet najlepiej postawione Ministerstwo Informacji nie zrobi wszystkiego; każdy z Polaków, przebywających dziś w W. Brytanii, zwłaszcza nasi publicyści i pisarze, powinni przyczynić się do uświadamiania opinii brytyjskiej o zagadnieniach, które z jednej strony są dla niej często nowe i skomplikowane, z drugiej zaś strony stanowią żerowisko czynników i wpływów nam nieprzyjaznych.

W żadnym jednak razie nie może to być jakaś jednostronna,

ciasna propaganda, bo tą daleko nie zajedziemy. Zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich, jak w ogóle zagadnienia odrodzonej Polski przedstawiać musimy w ramach konstruktywnego planu urzędzenia przyszłej Europy, — planu, który by stwarzał szanse trwałego pokoju i dającego wzajemne korzyści kooperacji narodów. Tą tylko drogą trafić możemy do umysłowości brytyjskiej.

(X)

Horyzont wojenny

Do najważniejszych wydarzeń wojennych w omawianym okresie zaliczyć należy przyłot zastępcy Hitlera w partii nazistowskiej, i subsydiarnego jego następcy jako Führera Niemiec, Rudolfa Hessa, do Wielkiej Brytanii. Fakt ten może wyrzucić o wiele większy wpływ na przebieg wojny i nawet na poszczególne operacje, niż np. strata przez Wielką Brytanię jej największego okrętu wojennego Hooda. W czym leży sedno zagadnienia?

T. zw. czytająca publiczność interesuje się przede wszystkim zagadnieniem, czy Hitler przysłał Hessa do Anglii, czy też Hess uciekł. Jest to zagadnienie rzeczywiście ciekawe, ale w istocie swojej drugorzędne. Najważniejszą stroną sprawy Hessa jest fakt, że człowiek, który wie bardzo wiele o działaniu niemieckiej maszyny wojennej — może nawet najwięcej w ogóle ze wszystkich ludzi na świecie — jest w Anglii, że mówi i że musi mówić.

Osobiście przemawia mi do przekonania rozumowanie, iż Hess uciekł, a nie został wysłany przez Hitlera jako jego najnowsza tajemnicza broń, mająca ubezwładnić Wielką Brytanię. W takim pojmowaniu rzeczy kryje się czasem defetystyczna *arriere-pensee* o wszechmocy Hitlera, która jest bardzo daleka od rzeczywistości. Hitler nie jest zresztą w najmniejszym stopniu humanitarny i gdyby mógł zgnieść Wielką Brytanię, to by to uczynił i nie wysłał by żadnego posła, mającego przekonać ewentualnie rząd brytyjski o konieczności zaprzestania walki. Jeżeli Hitler wysłał Hessa, to jest to dowodem jego słabości i jego przekonania, że dalszy przebieg wojny wciągnie go ostatecznie w przepaść klęski i upadku.

Ale Hitler Hessa nie wysłał. Nie jest on na tyle lekkomyślny, żeby wydawać w ręce Anglików człowieka, koncentrującego w sobie tyle tajemnic państwowych i wojskowych. Hitler napewno nie sądzi, że Anglicy są aż tak sentymentalni i tak dżentelmeńscy, iż ograniczą się do traktowania Hessa jak szlachetnego cudzoziemca, którego nie należy molestować, bo może to narazić na szwank ich reputację w oczach przeciwnika. Hitler musiałby napewno wziąć pod uwagę, iż skoro chodzi o życie tylu dzielnych i mężnych z pośród młodzieży całego świata i w szczególności młodzieży Imperium Brytyjskiego i skoro chodzi o teraźniejszość i przyszłość setek milionów ludzi i cywilizacji wypracowanej wysiłkami pokoleń i podtrzymywanej ofiarami mordowanych i męczonych Polaków, Serbów, Czechów i innych ujarzmionych narodów — Anglicy nie mogliby ograniczyć się do zarejestrowania przybycia p. Hessa w kartotece jeńców i do traktowania go, jak się traktuje zwyczajnych i pocziwych generałów, wziętych na polu bitwy do niewoli.

Hess także dlatego nie przybył do W. Brytanii z wolą i wiedzą Hitlera, bo wtedy tłumaczenia niemieckie nie były by aż tak mętne i zmienne. Zrobiono z niego wariata, bo sądzono, że może rozbije się na swojej maszynie lądując poza granicami Rzeszy, albo może zechce składać jakieś desperackie oświadczenia na terenie jednego z krajów neutralnych. Kiedy okazało się, że jest w Anglii, fantazję o wariacie, który był zastępcą Hitlera, ubarwiono bajeczkami dalszymi. Różnorodność tych wyjaśnień świadczy, że je improwizowano.

A więc — z naszego punktu widzenia — uciekał, bo się bał. A bał się, bo albo się poróżnił, albo w ogóle zwątpił. Jeżeli się poróżnił, to nie o przeszłość, której był sam współtwórcą. A więc poróżnił się o przyszłość, może o ogólną sytuację państwa niemieckiego, może o jakieś indywidualne posunięcie. W tym drugim wypadku nie musiał by uciekać,

mógłby lojalnie zarejestrować swoją opozycję i nadal być szlachetnie wiernym.

Ale niesnujmy tych rozważań. Ze względów psychologicznych mogą one interesować literatów, dla nas są o tyle ważne, o ile mogą rzucić światło na położenie wewnętrzne Niemiec.

Dorzućmy więc tylko tyle, ile nam potrzeba do oświelenia samej rzeczy, a nie osób i ich konfliktów osobistych. Hess uciekł, bo zwątpił w zwycięstwo. Jeżeli zaś zwątpił, to dla nas jest rzeczą cenną uświadomienie sobie, iż skoro ten tak poinformowany i zorientowany przywódca niemiecki nie wierzy w wygranie wojny przez Niemcy, to muszą tam być rysy zasadnicze. Można zaryzykować twierdzenie, że Hess wie o położeniu Niemiec nawet więcej, niż Hitler, bo szereg patriotów niemieckich właśnie do niego musiało przychodzić z żalami i obawami, jako do człowieka bardziej dostępnego i bardziej skłonnego do nachylenia ucha ku krytyce, bo nie odpowiedzialnego bezpośrednio.

Cóż więc Hess wie?

Tu trzeba trochę ruszyć wyobraźnię i uzmysłowić sobie, jak wygląda funkcjonowanie maszyny nazistowskiej. Składa się ona z trzech przenikających się ciał: państwa właściwego, wojska i partii, która jest zresztą siłą motoryczną dwu poprzednich tworów. Hess był kierownikiem partii, musiał więc brać udział we wszystkich posiedzeniach najwyższej centrali, ogniskującej całość spraw Trzeciej Rzeszy. Bez wątpienia Hess musiał otrzymywać i protokoły tych posiedzeń, jeżeli były prowadzone, i referaty, które były przedmiotem zebrań lub odpraw. Hess musiał te materiały studiować. Hess wiedział, że są one tak szczerze i prawdziwe, jak tylko umysłowość niemiecka w wewnętrznym kręgu zaufanych mogła je przedstawić. Hess wiedział i wie wszystko, co dotyczy organizacji partii w kraju i zagranicą na całym świecie; Hess zna niemieckie plany operacyjne; Hess wie, jaki jest stan liczbowy lotnictwa, produkcja sprzętu lotniczego i straty Luftwaffe; Hess wie wszystko również, co wiedzieć można o wojnie łodziami podwodnymi; Hess zna stan gospodarstwa niemieckiego; Hess zna stan zorganizowania Europy dla celów wojennego wysiłku niemieckiego; Hess wie wszystko o quislingach i głównych szpiegach niemieckich na całym świecie; Hess wie, jak pracowała piąta kolumna w Polsce; Hess zna historię działalności we Francji Abetz, zaangażowanie się pronieemieckie de Brinona, Flandina etc.; Hess wreszcie wie, na kogo Niemcy liczą w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Jeżeli się weźmie pod uwagę ustrój niemieckiej organizacji wojennej, w której decyduje Hitler, a wszystkie inne komórki dostarczają mu tylko elementów do powzięcia decyzji, to bez wątpienia syntezę tych wszystkich elementów mógł mieć tylko Hess!

Zadne względy nie powinny teraz Hessa osłonić. Wiedział on zresztą i liczył się z tym, że skoro ucieka do Anglii, to będzie musiał wszystko powiedzieć. W takiej wojnie względów być nie może i zwłaszcza Niemcy nie mogą liczyć na więcej względów niż ich sami innym okazują.

Takiego więc człowieka Hitler nie mógł przysłać na łaskę i niełaskę przeciwnika, gdyż należało by w takim razie założyć, że nawet wyjawienie wszystkiego, co Hess wie, nie mogłoby osłabić maszyny wojennej niemieckiej. Jest to założenie absurdałne, czego najlepszym dowodem jest wystąpienie niemieckiej propagandy, iż chyba Anglicy będą na tyle rycerscy, że nie będą wymuszać zeznań od Hessa, który zresztą rzekomo nie wiele wie w ogóle.

Jeśli idzie natomiast o działania wojenne na wszystkich frontach lądowych i morskich, to trzeba stwierdzić, że Hitler nadal jeszcze utrzymuje inicjatywę wojenną. To on atakuje, a Brytyjczycy ciągle jeszcze się bronią, choć nie brak już przejaśnień na horyzoncie inicjatywy brytyjskiej. Na plan pierwszy wybija się jednak hitlerowski atak na Kretę i raid niemieckiej floty nawodnej w rejon Grenlandii i Islandii.

W operacjach kretańskich dwa momenty wysuwają się na plan pierwszy. Pierwszy moment podkreśla, że Hitler zaryzykował cały prestiż swój osobisty i podległej sobie siły zbrojnej niemieckiej w operacji o znaczeniu drugorzędnym. Bo — moment drugi — znaczenie Krety dla Niemców i dla Anglików jest najzupełniej różne.

Dowództwo naczelne brytyjskie stara się za wszelką cenę Kretę utrzymać i premier Churchill oświadczył w wielkiej swojej mowie, którą tu omawialiśmy w numerze poprzednim, że m. i. o Kretę toczyć się będzie walka na śmierć i życie. Zwycięstwo Brytyjczyków na Krecie, to wytrącenie Niemcom inicjatywy, to pierwsze wielkie zwycięstwo nad Niemcami, to zwycięstwo potęgi morskiej na swoim własnym terenie nad potęgą — intruzem z kontynentu, to wreszcie oddziaływanie na Turcję, świat arabski, Rosję i Stany Zjednoczone. Ale czysto wojskowo sztab imperialny po straceniu Krety miałby jeszcze do dyspozycji do tych samych zadań, do których ma służyć Kreta, — Cypr, Palestynę, oraz — ewentualnie — Syrię i nawet Turcję.

A więc bitwa o Kretę, jest jedną z takich bitw, których szanse i wyniki można obliczać spokojnie: ile czasu, środków i strat w wojskach szturmowych wszelkiego rodzaju kosztować może ewentualne powodzenie Hitlera.

Należy bowiem zdawać sobie dokładnie sprawę, że w strategii każdy cel ograniczony jest osiągalny, chodzi tylko o ekonomię wysiłku. Jeżeli Hitler zapomni o ekonomii prowadzenia wojny i oprze się wyłącznie o względy prestiżowe, to cena, którą zapłaci za ewentualne zwycięstwo, może okazać się opłacalną dla Anglików. Do dnia dzisiejszego (25 maja) fotografie lotnictwa angielskiego stwierdziły przeszło 250 niemieckich samolotów zniszczonych na Krecie. "Insanity of wastage" kabluje korespondent Times'a z teatru wojny. Na lotnisku w Maleme Niemcy spychają i ściągają na plażę dziesiątki połamanych maszyn, żeby zrobić miejsce następnym. A cóż powiedzieć o stratach w wyszkolonym i wysoko wartościowym materiale ludzkim?

Jeśli przy tych i dalszych stratach Hitler zwycięży, to będzie musiał zaczynać przeciw Cyprowi całą historię od początku. Cypr chroni dojścia do Syrii, natomiast wartość obronna Krety dla Egiptu i Libii jest ograniczona w tym samym stopniu, co możność niesienia pomocy Krecie z tych terenów. Nie można oczywiście przeczyć dużej wartości Krety dla bryt. armii lotniczej i floty Bliskiego Wschodu, jeśli idzie o możność działania przeciw okupowanym Bałkanom oraz komunikacjom morskim, po których zdążać by mogła nafta rumuńska do portów włoskich. Tu była by strata duża. Jeśli natomiast ofensywa niemiecka na Kretę, skończyła by się klęską Hitlera, to niewątpliwie bitwa, którą od tygodnia śledzimy z napięciem, stać by się mogła punktem zwrotnym w tej wojnie.

Rozważania nasze ogólne o tej bitwie nie mogą zasłonić pewnych szczegółów taktycznych, niesłychanie ciekawych. Chodzi tu o masowe użycie szeregu nowych środków technicznych i nowych metod taktycznych. Niemcy konsekwentnie rozpracowali metody użycia wojsk spadochronowych i transportowanych na samolotach i pociągach szybowcowych. To są rzeczy nowe. Nie znamy natomiast szczegółów taktyki brytyjskiej, ale prasa angielska zwróciła krytyczną uwagę na nieprzygotowanie lotnisk dla eskadr myśliwców, które by rozgromiły inwazję niemiecką. I rzeczywiście może wydawać się dziwne, dlaczego, od listopada ubiegłego roku nie wykopano w stokach górskich podziemnych hangarów, z których mogły by stare typy samolotów startować poprzez splantowane przed nimi nasypy. Gladiatory i Fulmary byłyby wybornie dały sobie radę z powolnymi stosunkowo i słabozbrojnymi Junkersami transportowymi. Oczywiście należało tu wykopać miliony metrów sześciennych ziemi, ale do pracy tej byli od stycznia do dyspozycji najlepsi na świecie robotnicy: jeńcy włoscy. Nauki kretańskie zapewne brane są pod uwagę przy organizowaniu obrony Cypru, czas zaś, o jaki tak mężnie walczą żołnierze imperialni pod dowództwem żołnierza najwyższej klasy gen.

Freyberga, pozwoli zapewne uregulować ostatecznie sprawy Iraku i Syrii.

W Iraku sprawdza się nasze przypuszczenie, że obok koncentracji wojsk imperialnych do gry wchodzi również czynniki miejscowe. Jak brzmią doniesienia, szyicka, część ludności, która w kraju stanowi większość, organizuje się czynnie przeciw Raszid Alemu, który oparł się na grupie religijnej sunnickiej...

* * *

Rozwój wypadków w Abissynii — poddanie się księcia Aosta i centralnej grupy wojsk w Amba Alagi — jest zupełnie normalny i wkrótce już ten teren operacyjny zostanie skreślony z map sztabowych. Również sytuacja w Libii jest zadawalająca. Można powiedzieć, że już obecnie Niemcy ponieśli tam klęskę którą przyszłość zapewne tylko pogłębi. Myśleli oni, że zajmą i Tobruk i podejść pod Aleksandrię, tymczasem dzisiaj głównym ich problemem jest zaopatrzenie wojsk w rejonie Solum. Dostarczenie każdego litra wody i każdego pocisku na miejsce zużycia w Libii kosztuje ich tyle, ile wynosi waga tych artykułów w złocie. Jak zawsze bowiem, strategia jest walką o komunikację, a działania niemieckie w Afryce zapewniły im w danych warunkach komunikację najdroższe i najmniej bezpieczniejsze.

Na froncie w Wielkiej Brytanii znamienne jest zupełne osłabienie nalotów niemieckich. Ostatni ogromny niemiecki atak na Londyn nie dał absolutnie żadnych wyników wojskowych a dzięki spaleni sali posiedzeń Izby Gmin i zrujnowaniu części Westminster Abbey nienawiść ludności londyńskiej i ludności całego Imperium, bardzo przywiązanej do tradycji i historii kraju macierzystego, do barbarzyńcy wzrosła w jeszcze wyższym stopniu, niż dotychczas. Jest rzeczą jasną, że czynniki odpowiedzialne w W. Brytanii za prowadzenie wojny z dwójga złogą wolą nawet takie naloty, niż bombardowanie fabryk i portów.

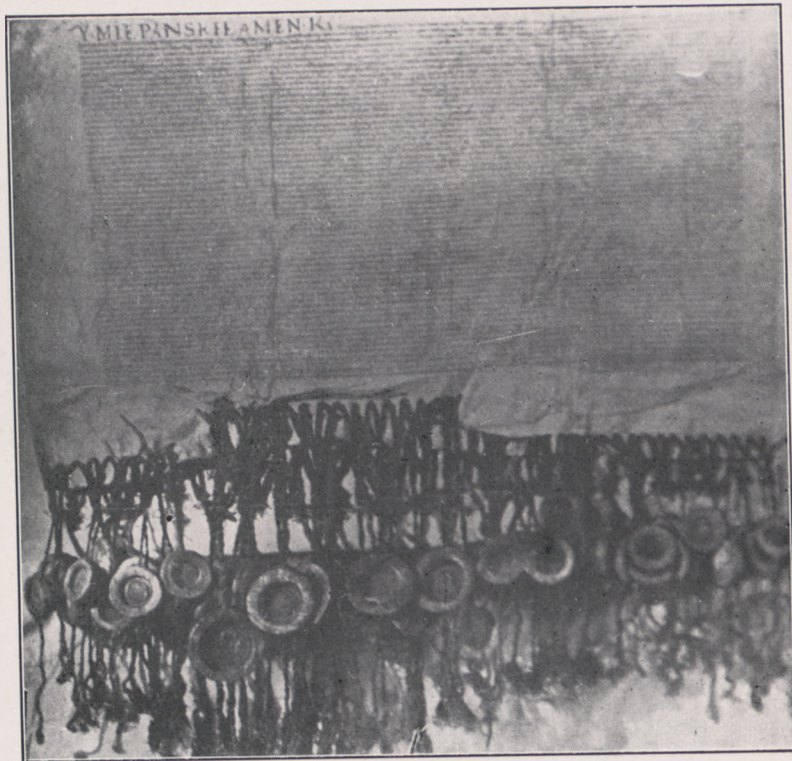
Czemu przypisać osłabienie akcji lotnictwa brytyjskiego nad W. Brytanią? Może wchodzi w grę czynniki atmosferyczne — mgła poranna na lotniskach przyjmujących samoloty wracające z raidu — te jednak nie przeszkodziły Brytyjczykom w wykonaniu w tym czasie kilku dużych nalotów na cele w Niemczech. Może też przypisać to należy wysiłkom niemieckim na Wschodzie, co by rzuciło znamienne światło na możliwości strategiczne Luftwaffe.

Akcja na morzach ożywiła się na skutek pojawienia się eskadry niemieckiej w rejonie Grenlandii. Zatopienie "bojowego krążownika" Hooda jest wynikiem zbiegu kilku okoliczności najpierw okręty tego typu — o zwiększonym uzbrojeniu zaczepnym i szybkości przy równoczesnym osłabieniu pancerza — w ogóle okazują się nieprzydatne przeciw najnowocześniejszym pancernikom o mniejszym tonażu, lecz lepiej opancerzonym i równie szybkim i uzbrojonym; powtórę Niemcy, którzy mieli zawsze artylerzystów morskich równie dobrych jak Anglicy mieli tym razem również łut szczęścia. Odosobnione to powodzenie niemieckie nie zmienia jeszcze sytuacji na morzu, ale wskazuje na możliwości niemieckie i jest ostrzeżeniem dla Stanów Zjednoczonych.

W sumie ostatnie dwa tygodnie w walce o czas należy zaliczyć na dodatnie konto w tej wojnie. Ani zatopienie Hooda ani ewentualne powodzenie na Krecie nie dają Hitlerowi zwycięstwa i nie uwalniają go od troski, w jaki sposób przestawić całość wysiłków Niemiec na wojnę długą. Stąd więc zapewne niemieckie wysiłki w grze o Francję, przy czym tutaj zauważymy, że kierownictwo francuskie po klęsce bałkańskiej ugięło się znacznie przed Niemcami, waha się jednak jeszcze przed ostatecznym skokiem w niemieckie nieznanne. Bardzo znamienne dla Hitlera musiało być sformułowanie Darlana w jego ostatnim oświadczeniu radiowym, że Niemcy, które "s a m e wojnę zaczęły, uważają się za zdadne do ukończenia jej również s a m o t n i e przeciw wszelkiej możliwej kombinacji". Energiczne działania brytyjskie w Syrii, rozłam w wojskach tamtejszych francuskich, wyrażający się w przechodzeniu na stronę brytyjską lotników i nawet jednego całego oddziału z płk. Colletem na czele, musiały powstrzymać trochę zapędy defetystów francuskich. Ostateczne jednak zachowanie się Francji z Vichy zależy od zachowania się Stanów Zjednoczonych. Tam znajduje się klucz sytuacji.

Obserwator

ALBUM RZECZY POLSKICH



1. AKT UNII LUBELSKIEJ 1569 R.

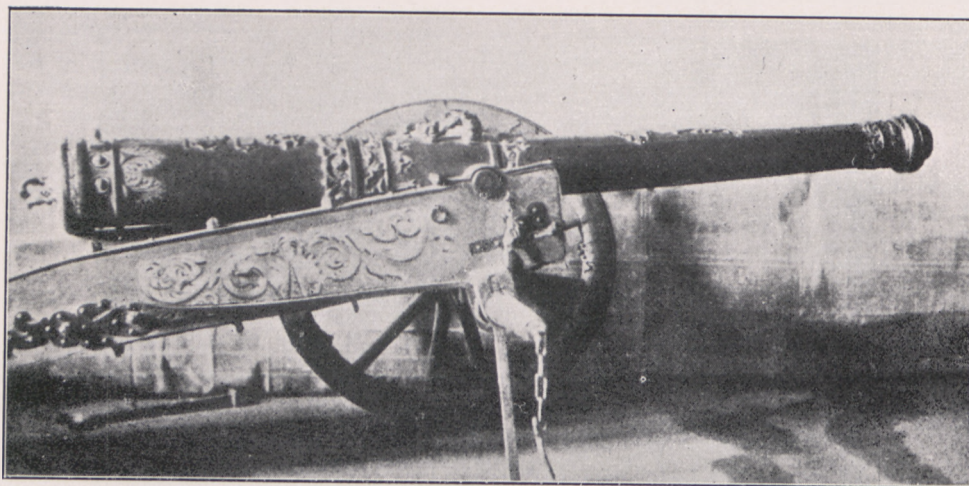


2. ZABYTEK SZTUKI POLSKIEJ Z XII WIEKU

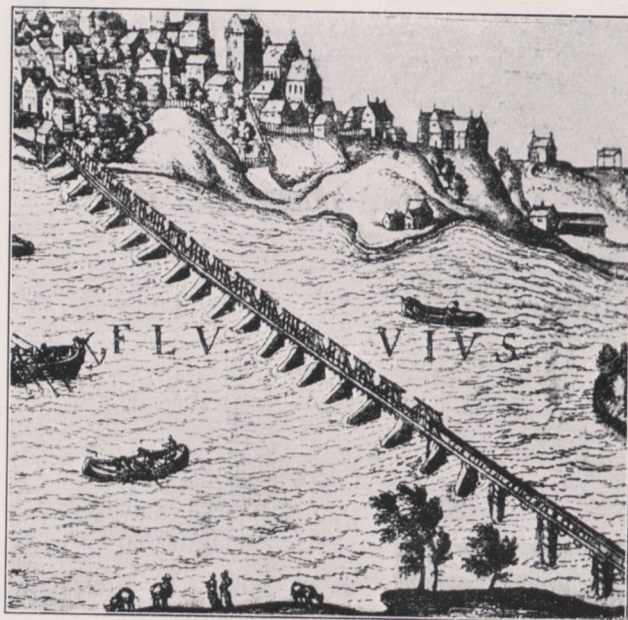


3. POLSKA BRONŃ PANCERNA

ALBUM RZECZY POLSKICH



4. POLSKA ARTYLERIA



5. MOST W WARSZAWIE Z WIEKU XVI



6. POLACY NA SZLAKACH MORSKICH

“ Polish Album ”

(See photographic pages)

1. AKT UNII LUBELSKIEJ 1569 r.

Fotografia nasza przedstawia dokument Unii Polski z Litwą, zawartej w Lublinie w 1569 r.

Unia Polski z Litwą sięga wieku XIV i przetrwała aż do rozbiorów. Ostateczną formę prawną otrzymała ta Unia właśnie w 1569 r. w Lublinie za panowania Zygmunta Augusta z rodu Jagiellonów. Odtąd nie tylko każdy Król polski był Wielkim Księciem litewskim, lecz wspólny był również Sejm i Senat oraz rząd z odrębnymi tylko dowódcami wojska litewskiego. Unia ta, znana jako Unia Lubelska, zapewniła Polsce i Litwie długie wieki potęgi i powodzenia, a Europie Wschodniej wieki równowagi i pokoju. Jest ona dowodem, jakie wyniki może dać rozumna federacja kilku ludów, oparta na zasadach chrześcijańskiego współzycia i wolności.

Do głębokich źródeł religijnych odwołują się wszystkie akty Unii. Akt unii polsko-litewskiej z 1413 r. ogłaszał, że oba narody łączą się w imię miłości, na której opiera się zbawienie wieczne. Akt ten dawał bardzo piękną definicję miłości, którą cytował niedawno Lord Halifax w jednym ze swoich przemówień na stanowisku Ministra Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii. Akt z 1569 r. również zaczyna się od powołania Imienia Bożego: “w Imię Pańskie, amen.”

2. ZABYTEK SZTUKI POLSKIEJ Z XII WIEKU

Fotografia przedstawia zabytkowe (wiek XII) drzwi Katedry w Gnieźnie, mieście koło Poznania, które było pierwszą stolicą Polski. Płaskorzeźba na drzwiach przedstawia akt chrztu. Jak wiadomo Polska przyjęła chrześcijaństwo w wieku X. W wieku XII Polska była zabudowana już pięknymi pomnikami architektury romańskiej i gotyckiej. Jednym z jej pomników jest właśnie katedra w Gnieźnie, w której niedawno Niemcy urządzili koncert organowy na cześć swoich gauleiterów.

3. POLSKA BRON PANCERNA

Zbroja husarska, charakterystyczna przez swoje skrzydła, dawała kawalerii polskiej ogromną siłę uderzenia. W XVI i XVII wiekach Polska odniosła liczne zwycięstwa dzięki swojej ciężkiej kawalerii, którą można przyrównać do dzisiejszych dywizji pancernych. Polska kawaleria uderzała wtedy dużą masą w galopie. Z Polski idea takiego użycia kawalerii przeszła do Prus Fryderyka II, a następnie do Napoleona. Właściwymi twórcami jednak doktryny i praktyki wygrywania bitew w ten sposób byli polscy wodzowie: hetman Chodkiewicz, Król Jan Sobieski i inni.

4. POLSKA ARTYLERIA

Artyleria w Polsce znana była od wieku XV i rozwijała się znakomicie. Fotografia nasza przedstawia działo, polskie, wyprodukowane w Polsce i używane przez artylerię polską, z 1557 r. Zachowało się ono w muzeum szwedzkim z czasów wojen polsko-szwedzkich. Dzisiaj Niemcy tak niszczą muzea polskie; że wkrótce już tylko w zagranicznych muzeach zachowane zostaną pamiątki polskiej przeszłości.

5. MOST W WARSZAWIE Z WIEKU XVI

Sztuka inżynierska rozwijała się w dawnej Polsce, jak tego dowodzi obrazek nasz przedstawiający most przez Wisłę w Warszawie przy końcu wieku XVI. Budowę jego rozpoczął król Zygmunt August, a ukończyła królowa Anna Jagiellonka. Był to most stały, liczył 1150 stóp długości.

6. POLACY NA SZLAKACH MORSKICH

Udział marynarki wojennej polskiej w wojnie obecnej wzbudził uznanie dla polskiego marynarza ze strony najlepszych żeglarzy — Anglików. Fakt, że Polacy spisują się dobrze na morzu, jest dla Anglików odkryciem. Oczywiście, Polska nie była nigdy dotąd krajem w pełni morskim, ale cnót żeglarskich Polakom nie brakło. Tylko wskutek tego, że Polska przez 124 lat nie istniała jako państwo sprawił, że czyny polskich podróżników i nielicznych ale dobrych żeglarzy poszły w zapomnienie. Pomimo to jednak Australia zna nazwisko odkrywcy Strzeleckiego, który tam wybitnie zasłużył się, a francuski Madagaskar pamięta, że władcą jego przez czas jakiś w wieku XVII był Polak Maurycy Beniowski.

Fotografia nasza przedstawia mapę współczesną części Brazylii, zdobytej dla Holendrów przez Polaka, admirała w ich służbie, Krzysztofa Arciszewskiego podróżnika i wojownika z wieku XVII.

1. THE DOCUMENT OF THE UNION BETWEEN POLAND AND LITHUANIA (1569)

Our photograph represents the document signed upon the conclusion of the Union between Poland and Lithuania in Lublin in 1569.

The union between the two countries actually dates from the 14th century and it endured until the Partitions of Poland. It was given its final shape in 1569, during the reign of king Sigismund Augustus of the Jagellonian dynasty. From that time onwards not only were all kings of Poland Grand Dukes of Lithuania, but both countries had a common Diet and Senate and a common government and administration. Only the Commanding Officers of the Lithuanian armies were separate.

The “Lublin Union” gave Poland and Lithuania long centuries of political power and stability and it safeguarded peace and prosperity in the whole of Eastern Europe. It is a good example of what a wise federation of several peoples, based on principles of Christian co-operation and freedom, may achieve.

All documents of the Union are based on deeply religious principles. The proclamation of the Union signed in 1413 announces that both nations wish to unite in the name of that Christian love on which eternal salvation is based. The beautiful definition of what love as set forth in the document, was recently quoted by Lord Halifax in one of his speeches as British Foreign Secretary. The document dated 1569 also begins with the invocation of Our Lord’s name.

2. AN ARTISTIC MONUMENT OF THE 12th CENTURY

Our photograph represents the historical gates of the cathedral in Gniezno, a town near Poznan, which was Poland’s first capital. The relief sculpture represents the act of baptism. It is well known that Poland accepted Christianity in the 10th century and by the 12th century she already possessed numerous beautiful monuments of romanesque and gothic architecture. One of these is the Gniezno cathedral — where the Germans recently arranged an organ recital in honour of their Gauleiters.

3. POLISH ARMOUR

The armour of the Polish Hussars, with its characteristic wings, lent Polish cavalry a tremendous power of attack. In the 16th and 17th century Poland won many victories thanks to her heavy cavalry — the Hussars — which might be compared with the armoured formations of our days. Polish tactics developed the idea of massed cavalry attack, breaking through the enemy ranks at full gallop. This tactical idea was later on adopted by Frederick II of Prussia and afterwards by Napoleon. The doctrine and practise of winning battles by massed full speed attack by a heavily armed mounted unit is of Polish origin and Polish military commanders of such fame as King John III Sobieski and marshal Chodkiewicz were among those who developed and perfected it.

4. POLISH ARTILLERY

Artillery was known in Poland since the 15th century and it was developing very well. Our photograph represents a Polish gun, manufactured in Poland in 1557 and used by Polish troops. It has been preserved in a Swedish Museum dating from the times of the wars between Sweden and Poland.

The Germans to-day are destroying all Polish museums, so that, shortly, Polish historical relics will only be found here and there in foreign museums.

5. A WARSAW BRIDGE OF THE 16th CENTURY

The art of engineering was well known in ancient Poland, as is shown by our picture of a bridge across the river Vistula erected towards the end of the 16th century. It was begun in the reign of king Sigismund Augustus and was completed by his sister, Queen Anna Jagiellonka. The bridge was 1150 feet long and was of a permanent construction.

6. POLES AS SEAFARERS

The participation of the Polish Navy in the present war has raised full admiration for the Polish sailors on the part of the best sailors in the world — the British. The fact that Poles are so successful in naval operations came rather as a surprise to the English. Obviously Poland has never been a sea-minded country, although, on the other hand, it cannot be said that Poles never had anything to do with the sea. Poles have ever been keen explorers and several Polish sailors contributed to the discoveries made by other nationals.

Australia is well acquainted with the name of Strzelecki, who discovered part of that continent and rendered considerable services in its early history; in Madagascar the memory still survives of its Polish ruler, Maurycy Beniowski, who conquered that distant island in the 18th century and held it for some time.

Our photograph of a contemporary map of Brazil reproduces that part of Brazil which was conquered on behalf of the Dutch by a Pole, Krzysztoph Arciszewski, explorer and soldier of the 17th century, who served in the rank of Admiral in the Dutch Navy.

Jerzy Pietrkiewicz

Trzy niespodzianki

K. H. Rostworowski — R. Brooke

ZAJMUJĄC się ostatnio twórczością autora "Zołnierza", Ruperta Brooke, zająłem do małej ponad trzydziestostronicowej książeczki, zawierającej jedyny utwór teatralny tego przedwcześnie zmarłego talentu. Jednoaktówka Ruperta Brooke nosi tytuł "Lithuania".

Zaintrygował mnie tytuł, dla Polaka brzmiący szczególnie swojsko — i zacząłem lekturę. Lektura przyniosła niespodziankę. Niespodziankę do szczęścia!

Treść "Lithuanii" nawet w szczegółach ludząco podobna jest do "Niespodzianki" Karola Huberta Rostworowskiego, bodaj czy nie najlepszej i najbardziej popularnej spośród utworów naszego wielkiego dramaturga. Poprostu: angielska "Niespodzianka!"

Możnaby nawet snuć podejrzliwe wywody, gdyby nie wyjątkowy — zaiste — zbieg okoliczności, który tym analogiom nadaje specjalny sens. Chodzi tu bowiem nie o problem zależności jednego pisarza od drugiego, ale raczej o wpływ tematu, surowca literackiego — na dwa tak bardzo różne talenty, oddzielone od siebie barierą obcego języka.

1912 — 1928

"Lithuania" R. Brooke została napisana w 1912 r. — "Niespodzianka" K. H. Rostworowskiego — w 1928 r. (wystawiona w 1929). W British Museum znajdują się dwa wydania sztuki Brooke, drugie dopiero z 1935 r. (London: Sidgwick & Jackson, Ltd.); hoesickowskiego wydania — ani żadnego innego — dzieł Rostworowskiego niestety Museum nie posiada — i stąd trudno o ścisłe zestawienia poszczególnych fragmentów tekstu.

Uwaga ogólna: sztuka Brooke nie należy do popularnych utworów tego pisarza, nie jest wystawiana; nie zawiera jej także poczytne wydanie "Collected Poems" (zapewne dlatego że "Lithuania" pisana jest prozą).

Ponury temat jednoaktówki, podany przez Brooka przy pomocy wielu mocnych akcesoriów realizmu, musiał niewątpliwie szokować publiczność angielską — zresztą i ze względów kasowych wszystkie naogół teatry niechętnie zabierają się do wystawiania krótkich utworów, których fabuła może być rozegrana w ciągu niespełna godziny. Jeśli jednakże reżyser chce jednoaktówkę wystawić, włącza się ją zazwyczaj razem z innymi — dwiema lub trzema — do wspólnego pokazu. Ostatnio przed wojną w Polsce mieliśmy naprzykład taki wieczór jednoaktówek w Warszawie, gdzie razem z modernistyczną sztuką Józefa Czechowicza pokazano na deskach Teatru Nowego utwory Norwida i Rittnera.

Podobnie poradzi sobie z "Lithuanii" reżyserowie angielscy, wystawiając ją po śmierci poety na specjalnym poranku w "His Majesty's Theatre" razem z jednoaktówkami Gordona Bottomley'a i Wilfrida Gibson'a.

Anglię ubiegła jednak w wystawieniu "Lithuanii" Ameryka, a mianowicie już w 1915 r. Chicago Little Theatre przyswoił dzieło Ruperta Brooka publiczności Stanów Zjednoczonych.

Sądzę, że skoro — nie rozporządzając tekstem "Niespodzianki" — nie możemy cytować fragmentów — nie streszczajmy także treści polskiej sztuki; tymbardziej że każdy, kto uczęszczał do teatru, doskonale napewno pamięta główny motyw utworu Rostworowskiego.

FABUŁA "LITHUANII"

Zacznijmy więc od fabuły "Lithuanii".

Postaci: Obcy (A Stranger), Matka, Córka, Ojciec, Młody Człowiek, Karczmarz (po angielsku brzmi to wprost niezwykle — A Vodka-Shopkeeper), Syn Karczmarza (The Vodka-Shopkeeper's Son).

Rzecz dzieje się w chacie wiejskiej "na Litwie". Wnętrze ubogie. Na lewo od stołu wznosi się drabina, wiodąca na strych.

Przez wielkie niskie okno wpada światło księżycowe. Jest wczesny wieczór jesienny.

Obcy kończy jedzenie, Matka krząta się po izbie, lampka już jest zapalona. Obcy pije wódkę. Rodzina jest oszołomiona przybyciem nieznajomego, rozmowa toczy się o szczegółach jego nagłego nadejścia. Obcy zachowuje się przez cały czas dziwnie. Ton jego głosu jest chwilami histeryczny. Najpierw wypytuje Matkę o jej syna, który mając lat trzynaście, opuścił dom i poszedł w świat — potem robi aluzje do biedy, wyzieraającej z każdego kąta chaty, żali się nad ciężką pracą całej rodziny; wreszcie pokazuje pieniądze i chwali się swoim bogactwem.

Wypiwszy jeszcze więcej wódki, Obcy idzie spać, pozostała w izbie rodzina prowadzi rozmowę zciszoną, pełną niedomówień. Ojciec ocenia bogactwo nieznajomego, zastanawia się dlaczego ma tyle pieniędzy, i posądza Obcego o to, że jest złodziejem.

Córka, typ szorstki, brutalny, pełen nietajonych namiętności, rozowodzi się nad wyglądem nieznajomego; Ojciec, który wciąż pozostaje pod stałym wrażeniem wydarzenia — tworzy z aluzji córki i matki jakiś pierwszy zamglony pomysł.

Kontrast między ich własną nędzą a bogactwem nieznajomego, budzi pragnienia i pożądania w Ojcu, Córce i Matce. Ojciec szuka pretekstu, żeby usprawiedliwić swoje dziwne myśli o obcym człowieku, powtarza wersję: on jest napewno złodziejem. Córka wpeł do siebie bezwiednie: to taki mały, słaby, niewyrośły człowiek.

Ojciec wreszcie rzuca słowa skargi, słowa gniewu: — Ja tak tu stale haruję, utrzymuję rodzinę, nie mogę podołać biedzie, a tamten jest sam, ma tyle pieniędzy. Nie ulega wątpliwości, że to złodziej! Mamy więc do tych bogactw takie same prawo jak on. —

Córka znowu powtarza refren pokusy: on taki słaby a śpi przytem głęboko, jest zmęczony i pijany.

Ojciec walczy z nienazwanymi jeszcze pragnieniami, drży, czeka od żony i córki pomocy choćby w słowach, żeby ten stan psychiczny wytłumaczyć; wreszcie jak przez mgłę halucynacji szepce: ja kiedyś już zabiłem człowieka — w walce. Potem nagle, broniąc się przed pokusą, woła: a jednak on jest gościem. Matka odpowiada: To złodziej. Musimy mieć pieniądze. Dość tej nędzy.

Ojciec wyciąga nóż, postępuje kilka kroków w stronę drabiny, ale powstrzymuje się; nie może zamordować nieznajomego, tłumaczy się, że jest zmęczony, że musi napić się wódki na pokrzepienie. Idzie do karczmy, ma jeszcze parę groszy. (W tekście wyraz: "kopeks", chodzi o pieniądze rosyjskie kopejki).

Matka z Córką pozostają w izbie, czekając na powrót Ojca, który ma dokonać morderstwa. Z rozmowy kobiet wynika, że córka nienawidzi matki; nędza wydobywa z tych prymitywnych dusz najniższe instynkty. Córka staje się teraz główną inicjatorką mordu, podjudza matkę i opowiada o przyszłości, która ich uszczęśliwi pieniędzmi Obcego.

Nagle zjawia się Obcy. Schodząc z legowiska, pyta o Ojca, chce z nim mówić, zaraz jeszcze przed ranem. Dowiedziawszy się o wyjściu Ojca, wraca po drabinie na strych — w słowach jego majaczą przezcucia, jakby złe widma zbudziły go nagle ze snu.

Po powtórnym zaśnięciu Obcego, Matka z Córką naradzają się, bojąc się, aby ich nieznajomy nie posłyszał, nastłuchują wiatru z za okna.

Wtedy nagle przychodzi Młody Człowiek, kochanek Córki, który przynosi jąca w podarunku. Kobiety są zaskoczone, wypraszają gościa z izby; Córka stanowczo każe mu odejść. Tłumaczy Młodemu że ona sama i matka są śpiące: niech przyjdzie kiedy indziej. Znowu rozmowa Matki z Córką, denerwująca, ostra; żądze ujawniają się z coraz większą siłą.

Wreszcie, zniecierpliwiona długą nieobecnością Ojca, Córka decyduje się na stanowczy krok. Bierze siekiere i razem z matką uderza się do śpiącego. Z góry, nad sceną, słychać głuche uderzenia siekiery. Kobiety wracają po morderstwie blade, przerażone. Matka mówi, że zdawało jej się jakby Obcy wołał przez sen swoją matkę. Z nienawiścią patrzy na Córkę i wyrzuca jej w ostrych słowach — dlaczego tak długo, tak bez litości, mordowała tego słabego misernego człowieka: aż tyle ciosów zadała mu ciężką siekiere! Córka histerycznie płacze.

Wtedy właśnie nadchodzą Karczmarsz i jego młody syn, prowadzą pijanego Ojca. Obaj opowiadają kobietom o pobycie Ojca w karczmie, o tym jak mówił, pijąc że ma coś jeszcze ważnego w domu do roboty, że musi się śpieszyć. W dalszym ciągu rozmowy karczmarsz (Vodka-Shopkeeper) wyjawia tajemnicę nieznanego przybysza, który najpierw zaszedł do karczmy, wypytując się o swojego ojca.

Wątek dramatyczny rozwiązuje się tragicznie, Niespodzianka, którą Obcy chciał sprawić rodzinie, została już splamiona krwią mordu. Karczmarsz przybył za późno. Nie zdążył zapobiec zbrodni. Syn już nie żyje.

Pijany Ojciec powtarza w zamroczeniu: Mam coś do roboty, mam coś jeszcze do roboty... Matka bełkoce: Syn, syn... On krzyczał "Matko"!

Morderstwo zostaje ujawnione. Córka z determinacją mówi: A więc zamkną mnie w więzieniu! — Są to ostatnie słowa sztuki.

DWA ROZGAŁĘZIENIA "LITEWSKIEGO" TEMATU
Jak widzimy treść "Lithuanii" niewiele odbiega od treści "Niespodzianki".

Tragiczna niespodzianka, skrwawiona zbrodnią, została przez Rostworowskiego przedstawiona w kilku aktach; główny motyw i poboczne wątki zostały roznutę na szerokiej kanwie społecznej i obyczajowej — scena w karczmie posiada silne barwy psychologiczne.

U Brooke kondensacja dodaje sztuce plastyki, fakt morderstwa w połączeniu z okrutnie realistycznym wyjawieniem niespodzianki — został przez angielskiego poetę podany w zdaniach, słowach i półsłówkach niezwykle silnych: tragizm "Lithuanii" przypomina swoją barwą starożytne tragedie greckie, przypomina realizm teatru "Elżbietańskiego".

Dwudziestopięcioletni pisarz wróżył tym swoim jedynym dziełem scenicznym wielkie możliwości artystyczne w dziedzinie teatru, co podkreśla w uwagach o "Lithuanii" John Drinkwater. Gdyby Brooke żył dłużej, napewno część swej twórczości poświęcił nowoczesnemu teatrowi — pisze krytyk i przyjaciel poety.

Skąd ta analogia między dziełem pisarza angielskiego i "Niespodzianką" Polaka Rostworowskiego?

! Dzieli obie sztuki okres szesnastu lat, dzieli język i dzieli przestrzeń.

Tytuł utworu Brooke: Lithuania. Dlaczego taki tytuł, skoro w treści niewiele znajdujemy szczegółów topograficznych. Obcy tylko raz wymienia nazwę miasta. Tym miastem jest Mohylew. Ojciec nosi imię Iwan. Więcej faktów, usprawiedliwiających taki akurat tytuł — w utworze nie ma.

A jednak nic innego tylko... Lithuania. Mógłby przecież Brooke śmiało odrealnić tło sztuki, nie oznaczyć bliżej jej miejsca geograficznego. Na treści wcaleby się to nie odbiło. "Vodka-shopkeeper" znikłby wtedy wprawdzie jako "keeper" wódki, ale ostatecznie nietylko wódka można się upić.

Skoro Rupert Brooke utrzymał szczegóły realistyczne obcego sobie, dalekiego świata litewskiego, a właściwie białoruskiego bo takby raczej należało rozumieć elementy topograficzne sztuki angielskiej — skoro dał sztuce wyraźny tytuł "Lithuania", nie akcentując w nim istotnego wątku akcji — najwidoczniej przywiązywał wagę do pewnych faktów, które należą już do genezy jego utworu.

Drinkwater pisze w swojej nocie o "Lithuanii": "... Brooke had no use for the heresy that accounts it a merit to the dramatist that he should invent his own fable, and he used for his purpose a story that has recurred at intervals in the domestic annals of Europe."

A więc wyraźne podkreślanie roli konkretnego, faktu, realistycznego elementu — w genezie "Lithuanii". Sugestia tego realizmu była taki silna, że pisarz nie mógł obronić się przed atakiem autentyzmu. Pozostawił zamazane zarysy tła, rzeczywistości, która wywołała dzieło sztuki.

W "Niespodziance" rzecz dzieje się w Małopolsce. Całość zresztą społecznej trylogii Rostworowskiego ("Przeprowadzka", "U mety") wskazuje na tę właśnie a nie inną część Polski. Nie mniej jednak w genezie sprawa wygląda inaczej.

Skąd wziął Rostworowski pomysł "Niespodzianki"?

Mówiło się w polskich kołach literackich, że z gazety, z autentycznej notatki prasowej. Na szczęście autora tego artykułu i na korzyść prawdy, na emigracji w Londynie znajdują się dwie osoby, którzy mogą wiele powiedzieć o "Niespodziance". Jedna z nich była pierwszym czytelnikiem utworu w rękopisie; druga uczestniczyła w jury, które nagrodziło dramat Rostworowskiego.

Karol Hubert Rostworowski w rozmowach z obu tymi osobami (a na pewno i z innymi!) podawał nazwisko Sawy-Pusłowskiego jako tego, który przyczynił się do powstania "Niespodzianki". Pusłowski opowiadał bowiem Rostworowskiemu o wstrząsającym wypadku, jak wzbogacony syn powracając do rodziców został zamordowany przez własną matkę. Zdarzenie to miało rozegrać się w rodzinnych stronach Pusłowskiego. Sawa Pusłowski miał majątek "na... Litwie".

Znany więc dokładnie jedno rozgałęzienie zjawiska realnego, które przeszło z rzeczywistości do sztuki.

Jakie jednak koleje przechodził ten temat "litewski" w drodze do Ruperta Brooke, trudno dokładnie stwierdzić. W każdym bądź razie nie to jest istotne jakie były podróże wątku realistycznego "Lithuanii" — najważniejszy jest sam fakt istnienia tego drugiego rozgałęzienia, i to właśnie w Anglii.

Podobno miał ktoś zapytać Karola Huberta Rostworowskiego, czy zna inny utwór literacki o podobnej treści jak "Niespodzianka". Rostworowski ze śmiechem szczerze odpowiedział, że nie zna i wskazał na nazwisko Sawy-Pusłowskiego.

Być może że ten, który pytał Rostworowskiego, myślał nie o "Lithuanii", a raczej o utworze Zachariasza Wenera "Der vierundzwanzigste Februar", który zestawia ze sztuką Brooke Niemka Urmitzer w swoim studium o autorze "Zołnierza". Jest to o tyle bardziej możliwe, że z Niemiec bliżej do Polski — i że Rostworowski doskonale znał niemiecki. O współczesnej poezji angielskiej bardzo głucho było u nas kraju.

I oto na bruku londyńskim taka niespodzianka: R. Brooke i... Rostworowski! "Niespodzianka" polska i "Lithuania" — niespodzianka angielska.

Razem z tą pierwszą, którą przeżył autor niniejszego szkicu — mamy więc aż trzy niespodzianki.

Jerzy Pietrkiewicz

Po raz pierwszy wydana powieść o wsi

Jerzego Pietrkiewicza

„Po Chłopsku”

2 tomy — cena całości 6/6

Zamówienia kierować na adres: F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1

Jan Rembieliński

Wiersze o Warszawie

Z JAKŻE głębokim, serdecznym wzruszeniem — po tak długiej, przymusowej rozłące z rodzinnym miastem — bierze się dziś do rąk w Londynie tom „Wierszy o Warszawie”!* Jakże kojące, i krzepiące na duchu równocześnie, są te słowa miłości synowskiej, którymi poeci nasi, więksi i mniejsi, w różnych czasach składali hołd stolicy!

A przytem dzisiaj właśnie utwory sprzed lat stu i więcej nabierają aktualności tak żywej, tak związane są z uczuciami chwili obecnej, że w tych wzruszeniach z epok minionych co raz odnajdujemy siebie samych, swoje własne cierpienia, tęsknoty, dumy, nadzieje. Wszak dzisiaj znowu, jak w poemacie Słowackiego myśl nasza modlitewnie zwraca się do Warszawy:

. . . O Matko w żalobie

Tych co śpią w krwawym pochowani grobie

I tych — co wierzą, że wstaniesz nanowo . . .

Wszak dzisiaj znowu, jak w „Reducie Orдона”, dumnie powtórzyć możemy do „samowładnika połowicy świata”:

Mocarzu jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!

Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą śpiże,

Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże,

Warszawa jedna twojej mocy się urąga . . .

I jakże miło stęsknionemu Mazurowi choć przez chwilę odetchnąć powietrzem rzeźkim, swojskim, którego wiew niesie mu poezja Lenartowicza:

Hej! lasy moje, lasy, Nieporęckie puszcze . . .

I zda mi się, że woń ogarnia mnie słodka,

Jaskółka w duszy lata, i młodość mnie czmuci . . .

A równocześnie, teraz, w obliczu nowego — i codziennego męczeństwa — z pełniejszym jeszcze prawem, niż Norwid, powtórzyć może każdy do Warszawy:

Z bruku twego radbym mieć kamień

Na którym krew i łza nie świecą!



Ale fakt, że odnajduje się w książce kilka wierszy ukochanych, które się zna od dziecka, nie znaczy jeszcze, by cały wybór uznać za trafny i dokonany z kulturą i smakiem. Prawdziwą więc szkodą jest, iż nie umieszczono ani jednego utworu z literatury staropolskiej, gdzie ku chwale stolicy wypisywano przecież całe poematy (np. Jarzembski w wieku XVII). Wniosłoby to do antologii o kilka tonów więcej, swoistych i niezastąpionych. I błędem jest również, iż — skoro już zdecydowano się dawać urywki z całości większych (jak to uczyniono ze Słowackim, Gomulickim, Lenartowiczem, Światopełk-Karpińskim) — nie zamieszczono jednocześnie takich fragmentów jak np. opowiadanie o Cichowskim z „Salonu Warszawskiego” w „Trzeciej Części Dziadów” lub końcowa modlitwa Łukasiewskiego z „Nocy Listopadowej”. Fakt, iż są to wyjątki z dzieł dramatycznych, nie powinien zakłopotać żadnego pedanta, skoro są one równocześnie samodzielnie całkiem utworami poetyckimi, w większe tylko całości wtopionymi. Modlitwa Łukasiewskiego — to przecież najczystsza liryka, zaś opowiadanie o Cichowskim, samoistne zupełnie, mniej — formalnie nawet — zawiera elementu dramatycznego, niż np. „Reduta Orдона”. Żaden też utwór z literatury sprzed stulecia nie może być bardziej aktualny i obejmujący — dzisiaj, w dobie śledztw i okrucieństw Gestapo.

A przytem, nie pozostawiając tego rodzaju luk, uniknęłyby się takich niewłaściwości, że w „Wierszach o Warszawie” całkowicie pominięty jest Wyspiański, i takich — powiedzmy — nieco już zabawnych dysproporcji, gdy czytelnika raczy się jednym utworem Mickiewicza i . . . siedmioma Słonimskiego.

Przechodząc do wierszopisów i poetów współczesnych, którym w zbiorze tak poczesne przyznano miejsce, za najfałszywszy w tonie, najbardziej obcy, uznać należy wiersz p. Juliana Tuwima p.t. „Lekcja”. Aktualno-propagandowy patriotyzm treści zupełnie nie kojarzy się z formą utworu, tak jawnie wyprowadzającą swój rodowód z bolszewickiej poezji rosyjskiej, Jesieninów czy Błoków. Owe powtarzające się „wycia”, owe swoiste całkiem metafory, owe:

W świat potężny, w świat plugawy

Pieśń warszawskich dzieci zawyż . . .

— drażnią, jak zgrzyt żelaza po szkle, jak dysonans. W taki

sposób wyraża się nienawiść społeczna, rewolucyjny bunt i gniew proletariatu, ale nie patriotyzm, który zawsze posiada tonację inną, choćby najbardziej był bezlitosny i mściwy. Trudno, rzecz prosta, spierać się o dźwięk tego tonu, tak jak niełatwo opisywać słowami barwę zwłaszcza gdy chce się objaśnić niewidomego. Widzący zobaczą.

Aktualno-propagandowy charakter posiadają też w ogromnej mierze patriotyczne wiersze p. Antoniego Słonimskiego. Może dlatego właśnie, gdy, niezrodzone z tej troski, wiersze dawnych poetów są wciąż na czasie, jakgdyby pisano je wczoraj, literatura p. Słonimskiego wietrzeje po kilkunastu miesiącach. I jak nic nie mówią już nam np. koniunkturalne komplementy, które rok temu zamieszczał pod adresem Francji w okolicznościowych wierszach, pisanych w Paryżu.

Popularny wiersz p. Słonimskiego „Alarm” posiada jednak wartości trwalsze, przede wszystkim wskutek istotnie cennego artystycznie — a nawet przejmującego w swym napięciu — wyrażeniu uczucia lęku, wywołanego bombardowaniem. Owe krótkie: „Uwaga! Uwaga! Przeszedł . . .” „Seria bomb. To gdzieś dalej. Nie ma obawy. Pewnie Praga. A teraz bliżej, jeszcze bliżej. Tuż, tuż”, — ów rytm rwący się, jakby zadyszany przyspieszonym przez strach biciem serca, mają w sobie prawdę psychologiczną, której nie sposób podrobić.

Akademik Wierzyński reprezentowany jest w antologii dłuższym, po akademicku poprawnym w formie utworem: „Barbakan warszawski”. Poemat pomyślany jest ambitnie, staranny w obrazowaniu, o szlachetnym niekiedy dźwięku słowa. Myśl historiozoficzna, stanowiąca treść dzieła, pozostaje mniej więcej na poziomie „Było tak . . .” Juliana Wołoszynowskiego.

Proste i szczerze są „Bzy w Warszawie” Antoniego Bogusławskiego, krótki a jedyny utwór poety, znajdujący się w zbiorze. Bardzo piękna, o wysokiej kulturze artystycznej świadcząca, jest „Pieśń o Stefanie Starzyńskim” Jana Lechonia.

Swoistą cechą indywidualności tego poety, tak znamiennej w przenośniach i skojarzeniach, jest jego wrażliwość na życie nie wprost, ale raczej odbite w zwierciadle sztuki: tym bliższy jest np. Norwidowi czy Wyspiańskiemu, daleki od Kasprowicza. Właściwość ta występuje również w tym wierszu, a to zamglenie powtórnego jakgdyby odbicia osnuwa temat heroicznego pieśni swoistą atmosferą oddalenia, tak zrozumiałą tęsknocie wygnanczej i szlachetną — w skromności słów wobec wielkości czynu.

Ale przede wszystkim na czoło wysuwa się poeta, którego przed wojną nie docenialiśmy dostatecznie, który tutaj, teraz dopiero, zaczyna okazywać pełnię swych możliwości: Stanisław Baliński. Zarówno tragiczna, prosta „Kolęda”, jak „Poranek warszawski” — to utwory, które pozostaną w polskim piśmiennictwie, które — co niełatwe w narodzie Wielkiej Emigracji — dorzuciły do naszej poezji pielgrzymiej ton nowy, a przecież tak współdzwięczny z dawnymi. Baliński jest tak poetą Warszawy, jak Maryla Wolska, w swym „Dzbanku malin,” była niezapomnianą poetką starego Lwowa; ale tutaj, gdy tragizm doli, morze i wojska wrogie stają na drodze między miastem kochanym, a jego dziećmi, owe nastroje pogody dawnej, wskrzeszone w „Poranku”, choć może czasem mniej zwarte w wyrazie, nabierają nowego jeszcze, głębszego, uczuciowego znaczenia.

Nie żądajcie odemnie żadnej głębszej treści,

Wiem, iż sława tam bije z każdego kamienia

I że będą legendy pisać o tym mieście

I o męstwie, co nie zna drugiego imienia.

Ale dziś chciałem tylko dać obraz szczęśliwy,

Pelen światel i woni, niby obraz wioski,

Przez którą każdy kiedyś wędrował bez-troski,

Obraz nadto pogodny, aby był prawdziwy,

Ale dziś chciałem tylko — wśród grozy wieczora

W Londynie pod bombami — wrócić do poranka

I spojrzeć na Warszawę oczami kochanka,

Który ciągle nie wierzy, że to było wczoraj.

Czytałem ten wiersz, w swym chwilowym mieszkaniu, w zacisznym angielskim „home”, przy kominku, „drzwi od Europy zamknięwszy hałasów” . . . O tym to dumać na londyńskim bruku . . .

* „Wiersze o Warszawie” — M. I. Kolin (Publishers) Ltd.

Joseph Conrad

Józef Konrad Korzeniowski

Herr Schomberg

(Fragment ze "Zwycięstwa"—From J. Conrad's "Victory")

WIELKI pisarz angielski Joseph Conrad (ur. 1857— um. 1924) jest dziwnym zjawiskiem w literaturze światowej. Jest on bowiem nie tylko Polakiem z pochodzenia, ze starej i znanej w Polsce rodziny, lecz do końca życia utrzymywał łączność z Polską i żywo troszczył się o wszystko, co polskie. Fenomen ten dowodzi z jednej strony tych samych podstaw kultury w Polsce i w Anglii, z drugiej świadczy, iż nawet, kiedy oba kraje nie zazębiały się ściślej ani interesami politycznymi ani gospodarczymi, nie było danych do obcości uczuciowej polsko-angielskiej, któraby uniemożliwiła wychodźcy z Polski posiadanie dwu ojczyzn.

Pełne polskie nazwisko Josepha Conrada brzmi Józef Konrad Korzeniowski. Jako szesnastoletni chłopak opuścił on Polskę i wstąpił do służby morskiej w brytyjskiej marynarce handlowej. Poznał świetnie życie ludzi morza i zrozumiał ducha narodu angielskiego, obcując z nim przez długie lata na szlakach okrętowych całego świata.

Później, ujmując w rękę pióro, stał się Conrad-Korzeniowski piewą Anglii morskiej i jej synów, przemierzających rozległe oceany.

Zyskał sobie z czasem duże imię zarówno tematami, tak bardzo bliskimi światu anglosaskiemu, jak i znakomitą formą literacką oraz

znajomością tajników skomplikowanej psychiki ludzkiej. Cały świat kulturalny rozczuła się w "Zwierciadle morza", "Lordzie Jimie", "Nostromo" i "Zwycięstwie".

Czytelnikom naszym ukazujemy Conrada-psychologa. Scena wyjęta ze "Zwycięstwa" daje obraz Niemca, Schomberga, którego charakter jest połączeniem okrucieństwa z tchórzostwem, tyranii z tępota. Herr Schomberg, tajemniczy właściciel hotelu, zdala od swojej ojczyzny, na szlaku ludzi dalekiej przygody, takich niezwykłych jak Heyst, nie przestaje być Niemcem, uzewnętrzniającym swoje niskie instynkty w zdumiewającym bezstylu. Jakież kontrast w porównaniu z Heystem, zaawanturowanym w dalekie morza gentlemanem!

Herr Schomberg, jakby hitlerowiec w pantoflach, władca zastrachanej żony, jest panem wobec słabych, a tchórzem wobec wielkiej, prawdziwej przygody i wobec jej niepojętych — dla psychiki niemieckiej — bohaterów.

Sam autor zresztą we wstępie do powieści, który w całości drukujemy, zwraca uwagę czytelnika na typowość Schomberga jako Niemca.

Uważnie przyjrzyjmy się konstrukcji psychologicznej tego krótkiego ale jakże wymownego fragmentu:

Author's Note

THE last word of this novel was written on the 29th of May, 1914. And that last word was the single word of the title.

Those were the times of peace. Now that the moment of publication approaches I have been considering the discretion of altering the title-page. The word Victory, the shining and tragic goal of noble effort, appeared too great, too august to stand at the head of a mere novel. There was also the possibility of falling under the suspicion of commercial astuteness deceiving the public into the belief that the book had something to do with war.

Of that, however, I was not afraid very much. What influenced my decision most were the obscure promptings of that pagan residuum of awe and wonder which lurks still at the bottom of our old humanity. Victory was the last word I had written in peace time. It was the last literary thought which had occurred to me before the doors of the Temple of Janus flying open with a crash shook the minds, the hearts, the consciences of men all over the world. Such coincidence could not be treated lightly. And I made up my mind to let the word stand, in the same hopeful spirit in which some simple citizen of Old Rome would have "accepted the Omen".

The second point on which I wish to offer a remark is the existence (in the novel) of a person named Schomberg.

That I believe him to be true goes without saying. I am not likely to offer pinchbeck wares to my public consciously. Schomberg is an old member of my company. A very subordinate person in Lord Jim as far back as the year 1899, he became notably active in a certain short story of mine published in 1902. Here he appears in a still larger part, true to life (I hope), but also true to himself. Only, in this instance, his deeper passions come into play, and thus his grotesque psychology is completed at last.

I don't pretend to say that this is the entire Teutonic psychology; but it is indubitably the psychology of a Teuton. My object in mentioning him here is to bring out the fact that, far from being the incarnation of recent animosities, he is the creature of my old, deep-seated and, as it were, impartial conviction.

J. C.

Przedmowa do pierwszego wydania powieści

OSTATNIE słowo tej powieści zostało napisane 29 maja 1914 roku. Tym ostatniem słowem był pojedynczy wyraz a mianowicie tytuł.

Działo się to w czasach pokoju. Teraz, gdy zbliża się chwila wydania książki, przyszło mi na myśl czy nie należałoby zmienić tytułu. Słowo: zwycięstwo, wspaniałe i tragiczne cel szlachetnych dążeń, wydało mi się zanadto wielkiem i wzniosłem na nazwę zwykłej powieści. Mógł mnie ktoś także posądzić, że ze względów czysto handlowych usiłuję wmówić w publiczność, iż treść książki ma jakiś związek z wojną.

Tego się jednak niebardzo obawiałem. Na moją decyzję wpłynęły najsilniej nieuchwytnie podszept y tych pogańskich pozostałości grozy i lęku, które czają się jeszcze na dnie naszego starego człowieczeństwa. Zwycięstwo było ostatniem słowem, które napisałem w czasie pokoju. Był to ostatni literacki pomysł, który mi się nasunął, zanim drzwi świątyni Janusa rozwarły się z hukiem, wstrząsając umysłami, sercami i sumieniami wszystkich ludzi na świecie. Nie należało lekceważyć takiego zbiegu okoliczności. Postanowiłem więc zostawić to słowo, wiedziony tą samą nadzieją, z którą jacyś prostoduszni obywatele dawnego Rzymu byłiby przyjęli "omen".

Druga rzecz, na którą chciałem zwrócić uwagę, dotyczy istnienia (w powieści) osobnika nazwiskiem Schomberg.

Ze uważam go za istotę prawdziwą, o tem mówić nie potrzebuję. Nikt nie przypuści, abym świadomie dawał lichy towar swoim czytelnikom. Schomberg jest dawnym członkiem mojej kompanji. W "Lordzie Jimie", sięgającym jeszcze roku 1899, występował jako bardzo podrzędna osobistość, a w jednej z nowel, wydanej w 1902 roku, odegrał już rolę poważną. Tutaj ukazuje się w jeszcze większej roli, zgodnej z prawdą życiową (mam nadzieję) — a także i z własnym swoim charakterem. Tylko w tym wypadku wchodzi w grę jego głębokie namiętności i, co za tem idzie, groteskowa jego psychologia zostaje nareszcie uzupełniona.

Nie twierdzę wcale, że moja powieść daje całość germańskiej psychiki; ale jest to bezsprzecznie psychika Germanina. Wspominam o tem, aby podkreślić fakt, że Schomberg nie jest bynajmniej wcieleniem wrogich uczuć z ostatniej doby i że stanowi rezultat moich dawnych, głęboko ugruntowanych i poniekąd bezstronnych zapamiętań.

J. C.

From Part II

Three weeks later, after putting his cash-box away in the safe which filled with its iron bulk a corner of their bedroom, Schomberg turned toward his wife, but without looking at her exactly, and said:

"I must get rid of these two. It won't do!"

Mrs. Schomberg had entertained that very opinion from the first; but she had been broken years ago into keeping her opinions to herself. Sitting in her night attire in the light of a single candle, she was careful not to make a sound, knowing from experience that her very assent would be resented. With her eyes she followed the figure of Schomberg, clad in his sleeping suit, and moving restlessly about the room.

He never glanced her way, for the reason that Mrs. Schomberg, in her night attire, looked the most unattractive object in existence—miserable, insignificant, faded, crushed, old. And the contrast with the feminine form he had ever in his mind's eye made his wife's appearance painful to his aesthetic sense.

Schomberg walked about swearing and fuming for the purpose of screwing his courage up to the sticking point.

"Hang me if I ought not to go now, at once, this minute, into his bedroom, and tell him to be off—him and that secretary of his—early in the morning. I don't mind a round game of cards, but to make a decoy of my table d'hôte—my blood boils! He came here because some lying rascal in Manila told him I kept a table d'hôte".

He said these things not for Mrs. Schomberg's information, but simply thinking aloud, and trying to work his fury up to a point where it would give him courage enough to face "plain Mr. Jones".

"Impudent, overbearing, swindling sharper," he went on. "I have a good mind to—"

He was beside himself in his lurid, heavy, Teutonic manner, so unlike the picturesque, lively rage of the Latin races; and though his eyes strayed about irresolutely, yet his swollen, angry features awakened in the miserable woman over whom he had been tyrannising for years a fear for his precious carcass, since the poor creature had nothing else but that to hold on to in the world. She knew him well; but she did not know him altogether. The last thing a woman will consent to discover in a man whom she loves, or on whom she simply depends, is want of courage. And, timid in her corner, she ventured to say pressingly:

"Be careful, Wilhelm! Remember the knives and revolvers in their trunks".

In guise of thanks for that anxious reminder, he swore horribly in the direction of her shrinking person. In her scanty night-dress, and barefooted, she recalled a mediaeval penitent being reproved for her sins in blasphemous terms. Those lethal weapons were always present to Schomberg's mind. Personally, he had never seen them. His part, ten days after his guests' arrival, had been to lounge in manly, careless attitudes on the veranda—keeping watch—while Mrs. Schomberg, provided with a bunch of assorted keys, her discoloured teeth chattering and her globular eyes absolutely idiotic with fright, was "going through" the luggage of these strange clients. Her terrible Wilhelm had insisted on it.

"I'll be on the look-out, I tell you," he said. "I shall give you a whistle when I see them coming back. You couldn't whistle. And if he were to catch you at it, and chuck you out by the scruff of the neck, it wouldn't hurt you much; but he won't touch a woman. Not he! He has told me so. Affected beast. I must find something about their little game, and so there's an end of it. Go in! Go now! Quick march!"

It had been an awful job; but she did go in, because she was much more afraid of Schomberg than of any possible consequences of the act. Her greatest concern was lest no key of the bunch he had provided her with should fit the locks. It would have been such a disappointment for Wilhelm. However, the trunks, she found, had been left open; but her investigation did not last long. She was frightened of firearms, and generally of all weapons, not from personal cowardice, but as some women are, almost superstitiously, from an

Z części II

W trzy tygodnie później Schomberg schował skrzynię z pieniędzmi do kasy ogniotrwalej, której żelazny kadłub wypełniał kąk sypialni, i rzekł do żony, nie patrząc wprost na nią:

"Muszę się tych dwóch pozbyć. Tak dalej być nie może".

Pani Schomberg żywiła to samo przekonanie od pierwszej chwili, ale była już oddawna wytresowana aby się nie wyrwać ze swym zdaniem. Siedziała jak trusia, w nocnym stroju, przy jednej jedynej świecy, wiedząc z doświadczenia, że nawet jej potakiwania mogłyby być kamieniem obrazy. Wodziła oczami za postacią Schomberga, ubranego w piżamę i krążącego niespokojnie po pokoju.

Nie spojrział na nią ani razu, albowiem pani Schomberg w nocnym stroju była najmniej powabną ze wszystkich istot na świecie, nędzną, niepokazną, złamaną, starą. A sylwetka jej w zestawieniu z kobiecą postacią którą Schomberg miał zawsze w pamięci, raziła jeszcze bardziej jego zmysł estetyczny.

Chodził po pokoju, klnąc i złoścąc się, aby podnieść w sobie odwagę do należytego poziomu.

— Niech mnie djabli wezmą jeśli nie powinienem odrazu, natychmiast pójść do jego pokoju i powiedzieć, aby się wyniósł jutro o świcie razem z tym swoim sekretarzem. Nie mam nic przeciw porządnej grze w karty, ale żeby urządzić sobie przynętę z mojego table d'hôte'u — krew mnie zalewa na samą myśl o tym! Przyjechał tutaj, bo jakiś łgarz w Manili powiedział mu, że prowadzę table d'hôte.

Nie mówił tego wszystkiego dla poinformowania pani Schomberg; poprostu myślał głośno i starał się doprowadzić siebie do takiej pasji, aby zdobyć się na odwagę stawienia czoła "zwyczajnemu sobie Jonesowi".

— Bezczelny arogant, oszust, szalbierz — ciągnął dalej — miałbym wielką ochotę . . .

Nie posiadał się z wściekłości — ponurej, ciężkiej, teutońskiej wściekłości — tak niepodobnej do malowniczej, żywiołowej furji ras latyńskich; i choć jego oczy błędziły niezdecydowanie po pokoju, nabiegła krew i rozłuszczona twarz obudziła niepokój w nędznej kobiecie od lat tyranizowanej — niepokój o jego cenne cielsko — ponieważ ta biedna istota nie miała poza nim żadnego oparcia na świecie. Znała go dobrze, ale nie do gruntu. Brak odwagi to ostatnia rzecz, jaką kobieta zgodzi się dostrzec w mężczyźnie którego kocha, albo od którego poprostu zależy. Więc też pani Schomberg, skulona lekliwie w kącie, ośmieliła się rzec błagalnie:

— Wilhelmie, bądź ostrożny! Pamiętaj, że mają w kufrach noże i rewolwery!

Jako podziękowanie ze tę uwagę pełną niepokoju, rzucił wstrętne przekleństwo w stronę zaleknionej postaci. Pani Schomberg siedziała boso w kusym nocnym stroju, przypominając średniowieczną pokutnicę, obelżywymi słowami karconą za grzechy. Wspomniane przez nią narzędzia śmierci nie wychodziły z pamięci Schomberga. Nie widział ich nigdy na własne oczy. Zadanie, które wziął na siebie w dziesięć dni po przyjeździe gości, polegało na tym, że trzymał straż na werandzie, wałęsając się w pozie niedbałej a pełnej męskości, podczas gdy pani Schomberg, zapatrzona w pęk dobranych kluczy, "przetrasała" rzeczy dziwnych lokatorów, szcękając bezbarwnymi zębami, przyczem wypukłe jej oczy wyrażały nieprzytomną wprost trwogę. Jej groźny Wilhelm zażądał wręcz tej rewizji.

— Mówię ci że będę stał na straży — rzekł do niej. — Gwizdnę, jak tylko zobaczę że wracają. Ty nie potrafiłabyś gwizdnąć. A gdyby nawet złapał cię za kark i wyrzucił, nicby ci się takiego nie stało; ale on nie tknie kobiety. Nie tknie! Sam to mi mówił. To dziwaczna bestja. Muszę dowiedzieć się czegoś o ich sprawkach, żeby raz temu wreszcie koniec położyć. No dalej! Idź zaraz, prędko! —

Było to straszne zadanie, ale pani Schomberg uległa, ponieważ daleko bardziej bała się męża, niż wszelkich możliwych skutków swego czynu. Najbardziej troszczyła się o to, czy w pęku kluczy powierzonych jej przez Schomberga znajdzie się taki, który będzie pasował do zamków. W przeciwnym razie, cóżby to było za rozczarowanie dla Wilhelma! Tymczasem zastała kufrы otwarte, ale poszukiwania nie trwały długo. Bała się broni palnej i wogóle wszelkiej broni, nie wskutek

abstract horror of violence and murder. She was out again on the veranda long before Wilhelm had any occasion for a warning whistle. The instinctive, motiveless fear being the most difficult to overcome, nothing could induce her to return to her investigations, neither threatening growls nor ferocious hisses, nor yet a poke or two in the ribs.

"Stupid female!" muttered the hotel keeper, perturbed by the notion of that armoury in one of his bedrooms. This was from no abstract sentiment; with him it was constitutional. "Get out of my sight!" he snarled. "Go and dress yourself for the table d'hôte."

Left to himself, Schomberg had meditated. What the devil did this mean? His thinking processes were sluggish and spasmodic; but suddenly the truth came to him.

"By heavens, they are desperadoes!" he thought.

Just then he beheld "plain Mr. Jones" and his secretary with the ambiguous name of Ricardo entering the grounds of the hotel. They had been down to the port on some business, and now were returning; Mr. Jones, lank, spare, opening his long legs with angular regularity like a pair of compasses, the other stepping out briskly by his side. Conviction entered Schomberg's heart. They were two desperadoes—no doubt about it. But as the funk which he experienced was merely a general sensation, he managed to put on his most severe Officer-of-the-Reserve manner, long before they had closed in with him.

"Good morning, gentlemen."

Being answered with derisive civility, he became confirmed in his sudden conviction of their desperate character. The way Mr. Jones turned his hollow eyes on one, like an incurious spectre, and the way the other, when addressed, suddenly retracted his lips and exhibited his teeth without looking round—here was evidence enough to settle that point. Desperadoes! They passed through the billiard-room, inscrutably mysterious, to the back of the house, to join their violated trunks.

"Tiffin bell will ring in five minutes, gentlemen," Schomberg called after them, exaggerating the deep manliness of his tone.

tchórzostwa, — lecz—jak to bywa u kobiet — prawie przesadnie, z abstrakcyjnego lęku przed gwałtem i morderstwem. Znalazła się z powrotem na werandzie na długo przedtem, nim Wilhelm miał sposobność do ostrzegawczego gwizdnięcia. Ze zaś instynktowny, bezprzedmiotowy lęk najtrudniejszy jest do przewyciężenia, nic nie mogło jej skłonić do powrotu i dalszych poszukiwań — ani groźne pomruki, ani dzikie syknięcia, ani nawet parę szturchnięć w żebra.

— Idjotyczne babsko — mrucał hotelarz, zmieszany wieścią o tej zbrojowni ukrytej w jednym z hotelowych pokoi. U Schomberga zmieszanie nie wypływało bynajmniej z przyczyn abstrakcyjnych; to była jego natura.

— Precz mi z oczu! — warknął. — Idź i ubierz się do table d'hôte'u.

Pozostawiony samemu sobie Schomberg pograżył się w rozmyślaniach. Cóż to u diabła miało znaczyć? Jego proces myślenia leniwy był i dorywczy, lecz nagle oślnęła go prawda.

"Wielki Boże, przecież to awanturnicy! — pomyślał.

W tej właśnie chwili spostrzegł, że "zwykły sobie Jones" i jego sekretarz Ricardo o dwuznacznym nazwisku, wkraczają na hotelowy dziedziniec. Zeszli do portu w jakichś interesach i teraz właśnie wracali; smukły, cienki Jones stawiał długie nogi sztywnie i miarowo, niby nóżki cyrkla, a drugi gość kroczył żwawo u jego boku. Zupełna pewność przeniknęła do serca Schomberga. To byli bezwątpienia awanturnicy. Ale że przerażenie hotelarza polegało tylko na ogólnym wrażeniu, zdołał więc przybrać najsurowszy swój wygląd oficera rezerwy, nim się do niego zbliżyli.

— Dzieńdobry panom.

Odpowiedzieli mu z drwiącą uprzejmością, co upewniło go jeszcze w nagle powziętym przeświadczeniu, że to z pewnością awanturnicy. Sposób w jaki pan Jones zwracał na człowieka zapadłe oczy, niby obojętne jakieś widmo, i sposób w jaki ten drugi — gdy się do niego mówiło — cofał nagle wargi i wystawiał nagle zęby, nie podnosząc spuszczonej powiek, były to dowody oczywiste i rozstrzygające. Awanturnicy! — Przeszli przez salę bilardową, nieprzeniknieni i tajemniczy, kierując się ku tyłom domu, gdzie czekały na nich pogwałcone kufrы.

— Panowie, za pięć minut będzie dzwonek na drugie śniadanie — zawołał za nimi Schomberg, pogłębiając męski ton głosu.

Translated by Aniela Zagórska.

Z prasy i publicystyki

KORONA Z RĄK KRÓLOBÓJCY

Wydaje się, że w umysłach nie tylko już faszystowskich polityków, ale i członków dynastii włoskiej zapanowała całkowicie nauka Machiavellego. Oto król włoski desygnował na monarchę nowego quislingowskiego tworu państwowego swojego kuzyna księcia Spoleto, brata jeńca z Amba Alagi księcia Aosta. Ale król włoski odgrywał tu tylko rolę mu wyznaczoną przez Mussoliniego. Właściwie księżę Spoleto otrzymał koronę z rąk splamionych morderstwem dzielnego króla Aleksandra Karadziordzewica, z rąk Ante Pavelicza.

Przynoszą o tym wiadomości dzienniki angielskie, zamieszczając krótkie rzeczowe wzmianki; o wiele więcej interesuje się tym wydarzeniem niemiecka gazeta wychodząca w Londynie. Jest to Polakom teren również bardzo bliski i stosunki bardziej znane.

Nie wierzymy, żeby naród chorwacki stał za Ante Paveliczem, dotychczas wodzem organizacji terrorystycznej Ustaszich, który był właściwie najemnikiem włoskim i który został zaocznie skazany wyrokiem sądu francuskiego za zamordowanie w Marsylii w 1934 r. króla Jugosławii Aleksandra. Pavelicz nigdy nie wypierał się, że to jego organizacja zamordowała króla z jedynej dynastii słowiańskiej. Nie był on też niczym lepszym od szefa Organizacji Ukraińskich

Nacjonalistów Konowalca, który potrafił brać pieniądze równocześnie od Niemców i od bolszewików. Naszym zdaniem Pavelicz był nawet gorszym, bo przecież Chorwacja dobrowolnie połączyła się z Serbią i Słowenią w jedno państwo, bo Chorwaci zawsze uważali Włochów za swoich największych nieprzyjaciół. Dzisiaj Pavelicz ogłosił się dyktatorem państwa chorwackiego powołanego do życia wolą Niemców, ale nie ma przy nim Maczka, tylekroć podtrzymywanego przez społeczeństwo Chorwacji przeciw centralizmowi Belgradu. Ustaszi nie mieli za sobą ani mas chorwackich, ani rządu dusz.

Dlaczego Chorwacja ma podlegać Włochom, a nie Niemcom — jest tajemnicą politycznej taktyki Hitlera, który podtrzymuje pozory samodzielnej potęgi włoskiej. W każdym razie na tronie chorwackim zasiadł książę włoski, nowe "państwo" związane zostało wielu układami z Włochami i otrzymało włoską gwarancję granic. Zato führer Pavelicz zdradził i opuścił braci Chorwatów — Słowenów, o których dwa tygodnie temu doniesiono, że zostali wcieleni do Włoch, Pavelicz zdradził Serbów tępionych dziś jak tylko Polacy są tępieni, i Pavelicz zdradził własny naród, godząc się na wcielenie znacznej części Dalmacji do Włoch.

Zadne względy usprawiedliwić tych zbrodni nie mogą. Okoliczność, że Chorwaci są

katolikami, a Serbowie prawosławnymi, nie może być pretekstem do zaborów. Dynastia włoska ostatecznie związała swój los z Mussolinim. Będzie rzeczą narodu włoskiego rozsądzić, czy po klęsce, która czeka Włochy, ten sam los spotka dyktatora i króla. Ale królestwo księcia Spoleto napewno nie będzie trwałsze, jak cesarstwo etiopskie Wiktora Emanuela III.

MORDUJA

Naprawdę nie mamy powodu nie wierzyć doniesieniu londyńskiego Times'a ze Stambulu:

"Doniesienia z bardzo pewnych źródeł o położeniu w Jugosławii są jedną długą opowieścią o najdzikszym okrucieństwie i groźbie. We wszystkich częściach Jugosławii zamieszkałych przez Serbów Niemcy, Węgrzy i Bułgarzy współzawodniczą ze sobą w przedsięwziętych z zimną krwią masakrach, które mają na celu wyćpienie ludności serbskiej. Od czasu najazdu liczba ofiar — poza liczbą zabitych w działaniach wojennych i bombardowaniach lotniczych — masowych egzekucyj wynosi już wiele tysięcy.

Oto parę szczegółów. We Vrszacie powieszono księdza Braszowaną, kupca Dudyę Radaka i 28 innych osób; w Alibunar rozstrzelano prof. Verktchevicza i 70 studentów, którzy zgłosili się ochotniczo do wojsko i w ubraniach

cywilnych jeszcze oczekiwali wcielenia do szeregów; w Pantchevo powieszono księdza Maksyma i 15 mieszkańców. Tę listę można by przedłużyć ad infinitum, rozciągając ją rzeczywiście na każde serbskie miasto i wieś.

Widziałem przemyczone z Serbii fotografie kilku chłopaków serbskich i jednej kobiety, zwisających z drzew w lesie, a także szereg ciał ułożonych wzdłuż muru po rozstrzelaniu. W kilku wypadkach pozorem dla tego masowego morderstwa były strzały do Niemców, ale często nawet nie starano się o pozór, lecz wybierano ofiary z pośród znaczniejszych obywateli miejscowości, zadenuncjonowanych przez Gestapo za demonstracje przeciw przystąpieniu Jugosławii do Paktu Trzech.

Węgrzy również nie szczędzili okrucieństw w zajętych przez siebie częściach Jugosławii. W Novisadzie powiesili księdza Dtankulowa, przywódcę demokratycznego Aleksandra Motcha i 49 czołowych obywateli. Osiemdziesiąt tysięcy Serbów zostało zmuszonych do opuszczenia terytorium zajętego obecnie przez Węgrów.

Bułgarzy również dziko postępowali w serbskiej Macedonii, mordując wielu księży i członków stowarzyszeń patriotycznych. Bułgar nazwiskiem Piperkof wyróżnił się okrucieństwem w Skoplje. Wszystkie osoby urodzone po 1912 r. lub te, które tam po tej dacie przybyły, zostały przez Bułgarów wypędzone tak, iż często mężów oddzielono od żon i matki od dzieci. Bułgarskie usiłowania "bułgaryzacji" Macedonii były tak krwawe, iż Niemcy interweniowali i objęli pod własną administrację okręgi Ochridy i Strugi.

Przed okupacją Polski może nawet nie uwierzylibyśmy tym ponurym wiadomościom o zemście ze strony Bułgarów i Węgrów, o krwawym terrorze cywilizowanych Niemców. Teraz jednak wierzymy. Tę wojnę tocymy naprawdę z bestią.

FRANCUZI, OBCY NA WAS PATRZĄ!

Zdarczenie opowiedziane przez dziennik francuski w Londynie "France" dotyczy pobytu admirała Darlan w okupowanym przez Niemców mieście francuskim Beauvais, gdzie podobno odbyły się wstępne rozmowy prowadzące do układu Darlana z Hitlerem. Zdarzenie to, jeżeli nie jest prawdziwe, jest wiernym jednak odbiciem dzisiejszej sytuacji Francji. Ale nie mamy powodu wątpić...

"24 kwietnia około godziny 11 trzy czarne samochody Renault zjeżdżają do Beauvais. Wsiada z nich grupa osób z dostojnikiem w mundurze marynarki francuskiej na czele. Wkrótce wieść rozchodzi się po mieście: Darlan jest w Beauvais. Setki ciekawskich zbierają się na placu Jeanne-Hachette. W tym czasie Darlan ze swoimi współpracownikami udał się do olbrzymiego narożnego gmachu, na którym powiewa chorągiew z hakowatym krzyżem: to Kommandatur.

Mija godzina. O dwunastej mała grupa wychodzi z niemieckiego rządu. Darlan z odkrytą głową niesie w ręku swoją czapkę obszytą złotem. Tylko on jest w mundurze: jego współpracownicy ubrani są w szare lub granatowe komplety cywilne.

Grupa udaje się do jednej z głównych kawiarni na śniadanie. Tłum widzów skierowuje się również ku kawiarni i zostaje na terasie. Niskim głosem wymienia się komentarze, ciężka atmosfera panuje na placu.

Śniadanie skończone, Darlan i jego sztab wychodzą z kawiarni. W chwili, kiedy wychodzą na terasę, Admirał zawałił się. Prędko się jednak opanował. Zbliżył się do pierwszych szeregów tłumu i wygłasza kilka frazesów, kilka klasycznych frazesów dostojnika odbywającego podróży urzędową. Miały one być początkiem rozmowy, zostały jednak monologiem. Nastroj skrupowania wzrasta i Darlan usiłuje ożywić mieszkańców Beauvais.

Nagle gwizd... z ostatnich szeregów tłumu. Za nim wiele innych.

Podczas gdy Darlan zmieszany cofa się, jeden z jego współpracowników posuwa się ku tłumowi z twarzą zaczerwienioną i wrzeszczy:

"Francuzi, trochę opanowania się (un peu de tenue), Francuzi z Beauvais, obcy was

obserwuje".

Było to zdanie, którego właśnie nie należało wygłaszać. Teraz już cały tłum wybucha... Kobiety krzyczą:

"Obcy nas obserwuje? A czyż to wina? To wyście tego chcieli! Kto podpisał zawieszenie broni?"

... Darlan suchym gestem zbiera swoją grupkę i wraca do kawiarni. Tłum zaś przez pół godziny tłoczy się pod kawiarnią, plując, gwizdząc, okrzykując swoje niezadowolenie i oburzenie. Następnie, aby uniknąć interwencji policji wojskowej niemieckiej, która dotąd pozostawała niewidzialną, mieszkańcy Beauvais rozchodzą się powoli.

Cała Francja jest w tym opowiadaniu. I ten szef rządu wizytujący najeźdźców i ten tłum gwizdający bezsilnie i ten oficer wymagający opanowania się od ludzi, którym odebrano nadzieję! Francuzi, cały świat was obserwuje...

STARUSZEK, KTÓRY CHCE PRZECZEKAĆ

Podobny w tonie obrazek Francji daje waszyngtoński korespondent Times'a: "Mówi się z goryczą tutaj, że ludzie rządzący obecnie Francją wydają się być gotowymi do obrony honoru francuskiego przeciw wszystkim — z wyjątkiem Niemców. Obiega tu wiadomość o niechętej replice marszałka Petaina, kiedy ambasador Stanów Zjednoczonych admirał Leahy wręczył mu ostatnie oświadczenie prezydenta Roosevelta.

"Cóż — oświadczyć miał Petain — uczynił dla mnie Roosevelt z odległości 3.000 mil i co on dla mnie może uczynić, kiedy ja mam na karku całą armię niemiecką i nie więcej niż 10.000 własnej żandarmerii bez jednego karabinu maszynowego? Jestem w położeniu Leopolda Belgijskiego. Dlaczego Prezydent nie domaga się oporu od Leopolda? Ja muszę myśleć o 1.500.000 francuskiej młodzieży w niemieckich obozach jeńców i o moim zadaniu wydobycia jej stamtąd.

Nigdy nie będę walczył z Brytyjczykami dobrowolnie (nie objaśnił jednak marsz. Petain tego słowa "dobrowolnie" — podaje korespondent). Brytyjczycy zachowali się wspaniale, dokonali wysiłków nadludzkich, ale to wszystko jest szaleństwem. Admirale Leahy, powiedz pan jako marynarz, co pan myśli o położeniu Brytyjczyków na Morzu Śródziemnym? Czy jako ambasador mniema pan, że kraj pański może i chce dać Wielkiej Brytanii pomoc dostateczną? Ja sądzę, że nie. My Francuzi rozumiemy kategoriami polityki kontynentalnej, a Niemcy są dziś panami Kontynentu. Prawda, nasz własny Napoleon udowodnił, że podboje nie są trwałe, tymczasem jednak — nim to się sprawdzi — musimy przyjmować fakty i ułatwiać egzystencję Francji o ile to możliwe".

Marsz. Petain przedstawiony jest w tej rozmowie jako bardzo logicznie rozumujący defetysta. I tak zapewne jest. Staruszek nie chce nic ryzykować, staruszek chce przeczekać, staruszek przyjmuje fakty, ale nie chce i nie czuje się na siłach sam je stwarzać. Oto do czego dochodzi, gdy na czele narodu stają ludzie pozbawieni siły witalnej...

SŁABOŚĆ WEWNĘTRZNA ISLAMU

Interesujące uwagi o świecie Islamu czytamy w katolickim tygodniku "Tablet":

"Niepowodzenie Raszida Ali w uzyskaniu należytego oparcia w Iraku wynika z tych samych przyczyn, co niepowodzenie Regenta w udaremnieniu zamachu stanu: a to dlatego, że Irak jest krajem wewnętrznego rozdarcia. Rozdarty on jest nie tylko między Arabami i Kurdami, ale i między samymi Arabami Sunnitami i Szytami. Te trwałe podziały znajdują odbicie w polityce. Kurdowie w północnych górskich okręgach zawsze trzymali się zdala od Arabów. Schizma między Sunnitami i Szytami — która początek swój bierze w sporze o prawdziwego następcę Proroka — nigdzie nie jest bardziej żywa, niż w Iraku, gdzie Szyci — przeciwnicy sukcesji po Proroku, która miała miejsce w historii — są bardziej liczni, niż w jakimkolwiek innym kraju Islamu z wyjątkiem Jemenu. Ogólnie mówiąc: Raszid Ali

cieszy się poparciem Sunnitów i zwalczany jest przez Szytów, jakkolwiek jest właściwie niemożliwe wyrazić te uwarstwienia w określeniach politycznych. I Sunnici i Szyci i Kurdowie biorą udział w demonstracjach przeciw Raszid Alemu. Podział jest interesujący nie jako miernik dla sympatii zagranicznych kraju, ale jako przyczyna wewnętrznej słabości.

Słabość Iraku jest słabością Islamu jako całości, a to jest wynikiem starożytnej schizmy. Szyci pojawiają się w trzech różnych odmianach w Syrii. Charyici (Kharijites) we Francuskiej Afryce Północnej, Wahabici w Saudzkiej Arabii, Senussi w Cyrenaice — wszyscy nie jako własny sposób kroczą ścieżką Proroka i odmawiają uznania, iż i inni Muzułmanie mogą być jego prawdziwymi wyznawcami. To jest przyczyną, dlaczego wiele dyskutowana idea panarabizmu nie wchodzi jeszcze w dziedzinę polityki praktycznej o tyle, o ile — jak dotychczas to ma miejsce — państwa osi nie ożywiają jej dla swoich celów.

Jednym z głównych przeciwieństw Arabii jest przeciwieństwo między Arabią Saudzką z jednej i Irakiem oraz Transjordanią z drugiej strony. Wojskowe zawładnięcie przez króla Ibn Sauda jego królestwem w 1924-25 pociągnęło za sobą wypędzenie rywalizujących władców Mekki Haszimidów; a zarówno w Iraku jak i Transjordanii panuje rodzina Haszimidów. Obowiązywał przez kilka lat "Pakt arabskiego braterstwa" między Saudzką Arabią i Irakiem, ale nie położyło to kresu trudnościom między irackimi Szytami po jednej stronie bardzo niewyraźnie określonej granicy i fanatycznymi Wahabitami po drugiej stronie".

ECHA POLSKIE W IRLANDII

W majowym numerze miesięcznika Fortnightly czytamy dobry informacyjny artykuł o Irlandii. Wymujemy stamtąd ustęp, w którym mowa o sprawach polskich:

"Przy obowiązującej cenzurze gazety angielskie i książki napisane przez Anglików o wojnie mają swobodny obieg w Irlandii. Lecz nie może ukazać się w druku żadna irlandzka opinia o wojnie, jeżeli nie jest wyrażona w duchu zupełnej obojętności i neutralności. Nawet opinia o irlandzkiej neutralności, wyrażona w liście prywatnym skierowanym zagranicę może być ścigana na podstawie praw wyjątkowych i karana więzieniem.

Trzymając się tej polityki cenzor skonfiskował niedawno część wielkopostnego listu pasterskiego biskupa rzymsko-katolickiego z Achony dr. Morrisona, w której — jak donoszą, bo publicznie ukazać się to nie mogło — Biskup mówił o cierpieniach Polski, o prześladowaniach religijnych i oświadczył że słuszne jest, aby wierni jego diecezji współczuli z tymi, którzy walczą z agresją hitlerowską. Zdanie, któremu pozwolono ukazać się, wskazuje na stanowczość skonfiskowanego ustępu: "Od dni Heroda nie było takiego pomiatania życiem tych, którzy niewinni byli najmniejszego przestępstwa." Równocześnie w Irlandii Północnej opublikowane zostały listy pasterskie Kardynała MacRory i dwu innych katolickich biskupów, które zawierały surową krytykę rządu Północnej Irlandii (Ulsteru — przyp. tłum.). Ten rząd jednak nie interweniował w sprawie tych publikacji, co daje miarę kontrastu co do wolności słowa dla katolickich biskupów pod odnośnymi rządami protestanckimi i katolickimi.

Wolność słowa obowiązuje jeszcze w Dail (irlandzki sejm — przyp. tłum.) ale już sprawozdania z rozpraw są tak cenzurowane, iż prawda nie dociera do szerszych kół społeczeństwa".

PODRÓŻ GEN. SIKORSKIEGO

Wyniki podróży premiera rządu polskiego gen. Władysława Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych zostały podane do wiadomości publicznej i szeroko omówione w prasie codziennej. Scharakteryzować je można w trzech kierunkach: propagandowym, właściwym politycznym i wojskowym. Propagandowo wyniki są bardzo duże. Mani-

festacje Polonii amerykańskiej z okazji przyjazdu szefa polskiego rządu mają znaczenie i wewnętrzno-polskie i ogólno-amerykańskie.

Politycznie cieszyć się należy z kontaktu osobistego naszego premiera z prezydentem Rooseveltem, który w rozmowach z gen. Sikorskim nie szczędził słów uznania dla Polski. Potwierdził też zasadę wyrażoną w Lease and Lend billu, że i Polska — jako jeden z narodów najechanych przez Niemcy — korzystać ma z ogromnego arsenału amerykańskiego i nie ulega wątpliwości że udział Polski będzie tak duży, jak tego wymagać będzie liczebność armii polskiej. Dążyć by jednak należało by w ślad za tym — lub w niezbyt dalekiej przyszłości — prezydent Roosevelt wystąpił z publicznym oświadczeniem w sprawie polskiej, za wzorem swego wielkiego poprzednika Wilsona, dotychczas bowiem takiego oświadczenia nie składał i ograniczał się do wystąpienia okolicznościowych, podyktowanych protokołem dyplomatycznym, jakkolwiek zawsze w tonie bardzo serdecznym.

Wojskowo podróż gen. Sikorskiego przewyciężyła punkt martwy w sprawie tworzenia wojska polskiego za Oceanem. Dobrze więc, że doszło do deklaracji rządu kanadyjskiego, która daje podstawę prawną tej akcji. Finansowo jednak akcja ta opierać się będzie na zasobach polskich, które z natury rzeczy są skromne, i na uzbrojeniu amerykańskim. Liczebność więc wojska w 1941 r. nie będzie taka, jaką sobie moglibyśmy życzyć. Najważniejszy jest jednak początek. Łatwiej jest zawsze rzecz istniejącą rozbudowywać, niż tworzyć od początku.

JEŻELI WOLNO . . .

Jeżeli wolno było statecznym kupcom i finansistom londyńskim wypaść z równowagi i podskakiwać (jumped in the air) z okazji zatopienia niemieckiego pancernika Bismarcka, to niech wolno będzie autorowi tej rubryki również oddalić się od tytułu "Z prasy i publicystyki" i poświęcić w ostatniej chwili parę wolnych przypadkowo wierszy temu radosnemu zdarzeniu.

Zniszczenie "Bismarcka" na pełnym Atlantyku uchroniło dziesiątki okrętów handlowych od zatopienia. Gdyby "Bismarck" i "Prinz Eugen" przedostały się przez cieśninę Duńską (między Grenlandią i Islandią) na szlak okrętowy amerykańsko-europejski, nastąpiłaby tam prawdziwa masakra.

Dowództwo brytyjskiej floty śledziło jednak te statki od chwili ich znalezienia się w norweskiej bazie wypadowej — w Bergen. Wystawia to chlubne świadectwo brytyjskiej służbie wywiadowczej, która w tym wypadku skorzystała z obserwacji lotniczej.

Cała potężna machina floty brytyjskiej zaczęła działać.

Największym jednak paradoksem w tej walce jest, że okręt brytyjski zatonął od działania artylerii przeciwnika, niemiecki zaś byłby napewno uszedł, gdyby nie lotnictwo brytyjskie. Zamieniono rolę w tej bitwie.

BOHATERSKA DZIEWCZYNA POLSKA

Wychodzące w Stanach Zjednoczonych skrajnie lewicowe pismo nauczycielskie "Teachers Gazette" ogłosiło pt. "Zosia i Bóg list z Białegostoku (w części Polski, okupowanej przez Sowietów), napisany przez nauczycielkę-komunistkę. List ten jest wstrząsającym dokumentem tragedii, przeżywanej przez dzieci polskie, którym bezbożnicy bolszewicy starają się wyrzucić ich wiarę w Boga.

"Przede szereg lat — czytamy w liście — mała Zosia miała odwagę powtarzać, że Bóg istnieje. Miała ona zwyczaj odmawiać modlitwę rano i wieczorem, modliła się też — podobnie jak inne uczennice — przed i po każdej lekcji. Wszystkie dzieci otrzymywały naukę religii; dawano im do czytania książki, które przyjmowały i potwierdzały istnienie Boga. Nagle w wieku lat 14, Zosia słyszy, jak mówi się, że Boga nie ma. Nauka religii została zniesiona, co, jak zostało stwierdzone, głęboko zasmucило Zosię i jej małe koleżanki. Nowa nauczycielka wyjaśniła im, że także kiedyś wierzyła w Boga, lecz pewnego razu

stwierdziła, że jest on tylko wymysłem i zrozumiała, że religia stanowi tylko opium dla ludu.

"Lecz Zosia wybuchnęła płaczem: "Nie, Bóg istnieje, i my zawsze będziemy wierzyli w Niego". Odmawianie modlitwy zostało naturalnie skasowane ku wielkiemu żalowi uczniów, — a jednak, kiedy nauczycielka weszła do klasy, Zosia, która była najpobożniejsza, podniosła się z miejsca, by odmówić modlitwę. To samo powtórzyło się dnia następnego. Czwartego dnia dzieci, nie mając już odwagi odmawiać modlitwy głośno, wygłosiły ją szeptem. Pod koniec tygodnia żadne z nich nie śmiało już recytować jej w ogóle, lecz Zosia na początku lekcji zawsze zęgnęła się znakiem Krzyża, co dawało powód do pewnych nieporozumień. Lecz spokój został przywrócony szybko. Wiele spomiędzy dzieci przestało obecnie chodzić do kościoła, choć w dalszym ciągu znaczna ich liczba uczęszcza tam. Między nimi jest też Zosia, która oświadczyła, że chodzi do kościoła odmawiać modlitwy, których nie może odmawiać w szkole".

Autorka listu stwierdza, że spisała te wszystkie szczegóły, by przekonać rząd centralny w Moskwie, że w kraju tym, tak niedawno zajęтым, wysiłki antyreligijne są zupełnie niewystarczające.

Organ Watykanu "Osservatore Romano" w numerze z d. 16 marca rb., cytując list powyższy w rubryce "In Margine", dodaje od siebie słowa następujące: "Mała Zosiu, złożyłaś świadectwo swemu Bogu, obroniłaś swe prawo do czczenia i wzywania Go, wyznałaś swą chrześcijańską wiarę katolicką. Zrobiłaś to przez łzy swoje, kiedy inne głosy zostały zmuszone do milczenia, kiedy stałaś sama jedyną jako świadek Boga. Twoje wyznanie wykazało, że cokolwiek jest dobrego i świętego musi mieć korzenie w Bogu, rozdawcy łaski, światła i pracy. Twoje niezamierające modlitwy są symbolem wiary Twego kraju i próby, przez którą kraj Twój przechodzi, ze swymi zamkniętymi świątyniami, księżmi rozproszonymi i wygnanymi, podczas gdy nic nie może zamrozić płomienia wiary w jego sercu i zmusić do milczenia głosu modlitwy na jego wargach. "Bóg istnieje i zawsze wierzyć będę w Niego" — oto protest i wyznanie kraju, który nie może umrzeć; będzie żył."

Zarówno list o Zosi, jak i komentarz "Osservatore Romano" cytowany jest obszernie przez katolicką prasę angielską ("The Catholic Times", "The Tablet" i inne pisma).

ECHA PRZEMÓWIENIA PREMIERA CHURCHILLA DO NARODU POLSKIEGO

"The Catholic Times" z d. 9 maja rb., omawiając obchód 150 rocznicy Konstytucji 3 Maja, taki daje komentarz do przemówienia premiera Churchilla do narodu polskiego:

"P. Churchill, przypominając pierwszy rozbiór Polski, poszedł tak daleko, jak na to

pozwała polityka brytyjska, w oskarżaniu Rosji, tak jak i Prus o zdradzieckie ataki na Polskę. Lecz niedwuznacznie słał Polaków za ich wierność dla chrześcijaństwa — nie tylko dla Europy — i uznał za naszą sprawę odbudowę wolnej Polski, choć jeszcze nie integralności jej poprzednich obszarów."

BANALNA OPINIA

W "Wiadomościach Polskich" napisał recenzję o książce Stanisława Mackiewicza p. Krzysztof Nienaski (pseudonim). W recenzji tej znalazła się następująca ocena Dmowskiego:

Dmowski był wnukiem drobnego, szlacheckiego szlachetki; ojciec jego należał do warszawskiego drobniomieszczanstwa, on sam był najtypowszym "inteligentem," człowiekiem bez określonego zawodu, bo nawet trudno go nazwać dziennikarzem. Dmowski był w ten sposób związany z wszystkimi trzema warstwami, które Polską rządziły i decydowały o jej obliczu, bo kapitaliści, przemysłowcy, ziemianie, chłopcy, robotnicy nigdy naprawdę na to, co się nazywało opinią w Polsce, nie mieli wpływu. Dmowski miał wyjątkowy dar: 1) odczuwania, odgadywania tego co przeciętny Polak myśli i czego pragnie, 2) upraszczania zagadnień i przedstawiania ich w sposób łatwy, dostępny, zrozumiały, prawie oczywisty. Właśnie nieoryginalność Dmowskiego, omal banalność zapewniły mu ogromne echo. Nie trzeba było go nawet czytać, aby być jego zwolennikiem — wszystko się sprowadzało do najprostszych wskazań. Dmowski nie był większym "ideologiem" od Studnickiego, natomiast miał wyjątkowy talent organizacyjny, popularyzacyjny, potrafił mieć autorytet, zdobywać sobie ludzi, utrzymywać ich. Był wielkim "boss'em partyjnym. Sławkę ze swoim B.B.W.R. był w porównaniu z nim początkującym dyletantem."

Doprawdy, można czuć się zażenowanym — za autora artykułu — skoro czyta się opinię o Dmowskim tak banalną i tak zarazem nieprawdziwą. Zwolennicy Dmowskiego nie odnosili się do niego nigdy jak do nadczłowieka, nie modlili się do jego portretów na akademiach, ale też zupełnie słusznie uważają Dmowskiego za głęboki umysł i talent polityczny, jakiego przed nim Polska nie miała od paru pokoleń, — a, przy wzięciu pod uwagę szczęśliwego uzupełniania się piarstwa politycznego Dmowskiego z wynikami praktyki politycznej, nawet od paru wieków. Dmowski banalny? Dmowski nieoryginalny? Dmowski płynący z prądem poglądów przeciętnego ogółu? Wprost przeciwnie! Dmowski był przeciwieństwem i odwrotnością banału, Dmowski w swojej działalności publicznej najczęściej szedł przeciw fali, przeciw fali oportunistów i frazesu, tromtadacji i płytkości, które i teraz jeszcze tak głęboko niestety tkwią w życiu polskim. Nie, Dmowski nie był banalny, ani nieoryginalny, natomiast banalnym w swoim sądzie jest autor takiej opinii o Dmowskim.

LISTY DO REDAKCJI

List Stanisława Mackiewicza

Szanowny Panie Redaktorze.

W Nr. 4 redagowanej przez Pana "Myśli Polskiej" spotkałem się z zarzutami nieścisłej interpretacji tekstów konstytucji na które jako prawnik z wykształcenia i zamiłowania chciałbym odpowiedzieć.

1) Autor artykułu p. L. K. twierdzi, że zarzut centralizmu postawiony konstytucji 17 Marca jest "całkowicie nieusprawiedliwiony" i powołuje się na przewidziany w tej konstytucji samorząd terytorialny i gospodarczy. Francja ma także taki samorząd, posiada izby handlowe i rolnicze, a jednak ustrój francuski nazywamy ustrojem centralistycznym, a teoretycy o typie Karola Maurrassa i między innymi tego szkoły za to ustrój III Republiki krytykowali. Charakter centralistyczny konstytucji 17 Marca był niejednokrotnie poruszany w prawniczej konstytucyjnej literaturze polskiej. Wśród

projektów opracowanych przed uchwaleniem konst. 17 Marca, projekt ankiety prof. Bobrzyńskiego, lub projekt prof. Buzka na zarzut centralizmu nie zasługiwały.

Oczywista, że późniejsze rządy pogłębiły jeszcze tendencje centralistyczne i koncentracyjne w funkcjonowaniu naszej maszyny państwowej. Ale p. L. K. ułatwia sobie polemikę sugerując, że odpowiedzialność za niedorzeczne objawy tego centralizmu składam na konstytucję 17 Marca, czy jej autorów. Tego w mej książce niema.

2) P. L. K. zarzuca mi, iż napisałem, że według konst. 17 Marca naczelny wodza w razie wojny miała mianować rada ministrów, podczas gdy według art. 46 tej konstytucji miał go mianować Prezydent. Bardzo pilnie swego czasu zajmowałem się tym artykułem konstytucji marcowej, ale w tak treściwej książce, jak moja historia 20 lat Polski zam-

knięta na 350 stronicach nie mogłem się wdawać w szczegóły. Gdybym miał miejsce w swej książce na rozważania prawnicze, gdybym zamiast jednego zdania, które napisałem w tej kwestii miał napisać o tem dwie stronicę, tobym z dużą łatwością, dowiódł, że owa nominacja naczelnego wodza przewidziana w art. 46 konst. marcowej miała mieć charakter jedynie aktu formalnego, jak i inne nominacje, które podpisuje Prezydent, lecz, że w istocie kwestja kto ma być naczelnym wodzem miała być rozstrzygnięta przez radę ministrów a nie Prezydenta. Chętnie bym tutaj także z tą argumentacją wystąpił, ale ponieważ Pan, Panie Redaktorze, uprzedził mnie, że udziela gościnny memu listowi, pod warunkiem, aby nie był on dłuższy od artykułu z którym polemizuję, więc oszczędzam sobie miejsce na inne sprawy.

3) P. L. K. kwestjonuje moje twierdzenie, że na twórców konstytucji z 23 Kwietnia 1935 r. wywarł wpływ pewien ustrój amerykański. P. L. K. wskazuje, że tylko art. 16 konst. kwietniowej ma dalekie podobieństwo do konstytucji Stanów Zjedn. Mogę się powołać na mowy i pisma Stanisława Cara, głównego redaktora tej konstytucji, lub na broszurę p. Stanisława Bukowieckiego, który uczestniczył w jej projektowaniu, które wskazują wyraźnie na filjację od wzorów amerykańskich. Natomiast art. 16 nic nie miał z żadnym amerykańskim wspólnego. Był to całkowicie oryginalny pomysł ks. Eustachego Sapiehy, z którym ten nasz były minister spraw zagranicznych wystąpił w swej książce "Konstytucja racji stanu" na dwa lata przed uchwaleniem konstytucji kwietniowej. Poza tem p. L. K. gdyby chciał być bardziej skrupulatny zauważył by także zdanie, które napisałem na str. 233: "Konstytucja 23 Kwietnia nie przerabiała jednak ustroju państwa na sposób amerykański. Pozostawiła i premiera i solidarny gabinet i odpowiedzialność gabinetu przed parlamentem." Poco więc mi przypisywać poglądy, których nie wypowiedziałem. Chyba dlatego, aby mnie za niewypowiedziane poglądy krytykować.

4) P. L. K. w sprawie zwolnienia Prezydenta od kontrasygnaty oświadcza dosłownie: "Reforma ta wbrew zdaniu autora nie miała większego znaczenia". Ten sąd p. L. K. zadziwia mnie swoją arbitralnością. Bo oto ciągle się mówi (i słusznie), że konstytucja 23 kwietnia wzmocniła nadmiernie władzę Prezydenta, że jak to sam p. L. K. oświadcza "postawiła na jednostkę". Otóż w konstytucji 23 kwietnia poza jej ustępami o charakterze deklaracyjnym, jako konkretne, extraordinaryne wzmocnienie władzy samego Prezydenta, a nie całego rządu, spotkamy przede wszystkim, a nawet jedynie owe zwolnienie od kontrasygnaty. P. L. K. powiada, że zwolnienie obejmowało tylko 10 punktów. Dobrze, ale jakich punktów. Nie o ilość, ale o jakość tu chodzi. P. L. K. pisze np.: "Rozwiązanie Sejmu tylko wtedy nie wymaga kontrasygnaty, gdy następuje przed upływem kadencji." Ładne "tylko". Udział Prezydenta przy rozwiązaniu Sejmu którego kadencja upłynęła, jest aktem bez znaczenia politycznego, aktem o charakterze porządkowo-formalnym, natomiast zwolnienie Prezydenta od obowiązku kontrasygnaty przy rozwiązywaniu Sejmu posiada całkiem zasadnicze znaczenie polityczne.

P. L. K. pisze, że "popularnie" wyjaśniam co to jest kontrasygnata. Za komplement dziękuję, lecz właśnie w czasie czytania artykułu p. L. K. napadły mnie wątpliwości czym zasłużył na taką pochwałę.

Nie wiem również poco p. L. K. pisze że w konstytucji kwietniowej "wbrew twierdzeniu sejm nie mógł obalić rządu bez współdziałania senatu." Mógł albo nie mógł, — znany jest p. L. K. art. 29 konst., przewidujący trzy możliwości usunięcia rządu: 1) Prezydent dymisjonuje rząd na podstawie uchwały sejmu. 2) Prezydent odwołuje się do senatu. 3) Prezydent broni rządu przez rozwiązanie izb. Ten stan rzeczy streściłem w zdaniu: "Sejm, mający dostateczne polityczne wyrobienie, mógł zawsze obalić gabinet na podstawie tej konstytucji". Miałem na myśli, że z wyrobionym politycznie sejmem Prezydent będzie musiał się liczyć.

Z niechęcią, poruszam sprawę procedury uchwalenia konstytucji ale tutaj pana L. K. zawodzi ścisłość prawnicza. Muszę mu przypomnieć, że wymogi art. 125 konst. marcowej wówczas obowiązującej były dotrzymane: 1) Wniosek o zmianę konstytucji był. 2) był podpisany przez jedną czwartą ust. liczby posłów. 3) debata była zapowiedziana, 4) kwalifikowana większość była, 5) quorum było. Również p. L. K. myli się gdy twierdzi, że do uchwalenia poprawek senatu do tej konstytucji potrzebna była znów kwalifikowana większość w Sejmie. Sprawa ta była uprzednio rozważana, jeszcze za czasów Sejmu łaski Rataja, była w tej sprawie opinia między innymi prof. Jaworskiego i stało na tym, że w razie poprawek senatu w sprawach, które wymagają kwalifikowanej większości przy ich uchwaleniu, może być stosowany tylko ten normalny art. 35 konst. 17 Marca, który przewidywał uchwalenie zwykłą większością, lub odrzucenie większością 11/20. Pod temi wszystkimi formalnymi względami Car był w porządku. Natomiast racja ówczesna mogła mieć moralnie rację zarzucając Carowi, że wprowadził moment zaskoczenia, że zapowiedział "tezy" a uchwałił artykuły. Ale poco wracać do tych sporów. Dziś wszyscy się zgadzamy, że obowiązuje nas wszystkich konstytucja kwietniowa, która oddała sprawie polskiej znakomitą usługę odpuszczając na legalne przekazanie władzy z rąk prof. Mościckiego do rąk obecnego naszego Pana Prezydenta.

Pan L. K. dużo i słusznie pisze o prawie i o konieczności poszanowania prawa. Żałuję, że nie był łaskaw wspomnieć, skoro już omawiał prawne zagadnienia poruszone w mojej książce, że i ja również występuję jako obrońca zasad prawa i z tego tytułu potępiam okólnik Składowskiego z 13 Czerwca 1936 który konst. kwietniową złamał i przeinaczył.

Teraz krótka uwaga polityczna. Słyszałem zdanie o swojej książce z ust 1) socjalisty, 2) filosemity, 3) radykalno-demokratycznego epigona konserwatystów krakowskich. Wszyscy mi zarzucali, że zanadto chwalił endecję, że staram się pogodzić piłsudczyków z endekami. Artykuł p. L. K. odwrotnie twierdzi, że książka moja ma na celu wyłącznie i jedynie gloryfikację jednego tylko marsz. Piłsudskiego. Z pokorą więc konstatuuję, że książką swoją nie umiałem dogodzić nikomu. Nie oznacza to jednak wcale, abym na przyszłość obiecywał poprawę.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy szacunku.

Stanisław Mackiewicz

Od Redakcji

Poniżej zamieszczamy uwagi autora artykułu p.t. "Zagadnienia prawno-polityczne w książce p. Stanisława Mackiewicza" w Nrze 4 "Myśli Polskiej" z 15 maja 1941.

"W krótkiej odpowiedzi na list p. Stanisława Mackiewicza wyjaśniam co następuje:

1. Ustrój Francji jest istotnie ustrojem centralistycznym. Centralizm francuski jest pozostałością epoki reform napoleońskich, które podporządkowały organy, pochodzące z wyborów i reprezentujące interesy lokalne, przedstawicielom administracji rządowej. O charakterze ustroju nie rozstrzyga bynajmniej fakt istnienia pewnych instytucji samorządowych, lecz ich kompetencja oraz stopień zależności od władz rządowych. Cała ta sprawa nie ma jednak nic wspólnego z przepisami konstytucji marcowej, która oparła ustrój państwa na zasadach decentralizmu i dekoncentracji, co łatwo można stwierdzić po przeczytaniu przytoczonych przeze mnie przepisów tej konstytucji.

2. Niezupełnie rozumiem, dlaczego tendencja do streszczania się zmusiła autora do przeinaczenia tekstu art. 46 konstytucji. Był to zapewne skrót myślowy, niezbyt jednak udany, ponieważ podpis Prezydenta pod nominacją Naczelnego Wodza nie zawsze i nie w każdym warunkach mógł mieć znaczenie wyłącznie formalne.

3. Przytaczam odpowiedni ustęp z mojego artykułu: "System konstytucyjny Stanów Zjednoczonych . . . różni się całkowicie od systemu konstytucji kwietniowej (stwierdza

to zresztą sam autor na stronie następnej)". Nie przeczyłem więc zdania, które napisał autor na str. 232, skoro jednak autor nawet w art. 16 konstytucji nie dopatruje się podobieństwa do systemu amerykańskiego, to już zupełnie nie wiem, w czym wreszcie podobieństwo to widzi. Powołane w liście broszury nie są wszak żadnym argumentem: o charakterze konstytucji rozstrzyga jej tekst, nie broszury.

4. Wzmocnienia władzy Prezydenta dopatruję się w instytucji prerogatyw, lecz przede wszystkim w pomniejszeniu roli i wpływu parlamentu na bieg spraw państwowych oraz w ścisłym uzależnieniu składu osobowego rządu od Prezydenta, łącznie z rozszerzeniem zakresu władzy rządu. Prerogatywy były pomyślane jako jeden ze sposobów wzmocnienia władzy Prezydenta, lecz w praktycznym zastosowaniu zawiodły. Krótkie uzasadnienie tego poglądu dałem w artykule; nie mam możliwości go tu pogłębiać, przyjmuję więc zarzut arbitralności. Stwierdzając, że konstytucja wylicza prerogatywy w 10 punktach, prostuję jedynie zdanie autora ("i wiele innych"), z którego mogłoby wynikać, że instytucja ta była zasadą, a nie wyjątkiem od zasady kontrasygnaty. Stwierdzając, że rozwiązanie Sejmu tylko wtedy nie wymaga kontrasygnaty, gdy następuje przed upływem kadencji, prostuję jedynie twierdzenie autora, że rozwiązanie Sejmu w każdym wypadku nie wymaga kontrasygnaty. Chodzi tu o elementarną ścisłość, nie o wagę polityczną tych aktów. Autor, jako prawnik, powinien wszak doceniać wagę ścisłego wyrażania myśli, zwłaszcza w oddawaniu tekstów.

5. Art. 29 konstytucji powołuję, jako przykład nadmiernego ograniczenia odpowiedzialności rządu przed parlamentem oraz w celu sprostowania twierdzenia autora, że politycznie wyrobiony Sejm mógł "zawsze" obalić gabinet na podstawie konstytucji. Autor wyjaśnia wprawdzie, że miał co innego na myśli. Gdyby powiedział to właśnie, co miał na myśli, pogląd jego nie nasuwałby wątpliwości.

6. Usiłując dowieść poprawności procedury uchwalania konstytucji kwietniowej, autor broni straconej pozycji. Nie mogąc tu wdawać się w szczegółowe rozważania tego tematu, odsyłam do książki prof. Waława Komarnickiego p.t. "Ustrój państwowy Polski współczesnej", w której sprawa ta jest szczegółowo przedstawiona.

7. W artykule swym zajmowałem się jedynie tymi ustępami książki, które nasuwały zastrzeżenia bądź wątpliwości, nie dotykałem natomiast poglądów, które uważam za słuszne, jak poglądy autora na okólnik z 13 czerwca 1936 r. Jeżeli autor uważa, że powinienem był to uczynić, czynię to obecnie.

L. K.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redaktor: Marian Emil Rojek,
92, Eamont Court, Regents
Park, London, N.W.8. Tel.:
PRImrose 4350.

Prenumerata kwartalnie (6
numerów): 4s. 6d. lub \$1.50

Prenumerata półrocznie (12
numerów): 9s. lub \$3.

Postal Orderów nie należy wypełniać ani kreślić.